

3
4





13. pl. 3

LĄD AFRYKAŃSKI.

LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF TORONTO

130 St. George Street
Toronto, Ontario

UNIVERSITY OF TORONTO
LIBRARY

ŁAD AFRYKAŃSKI

w świetle najnowszych badań.

NAPISAŁ

Dr. Jarosław Ylach.

Przekład z czeskiego.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 0 22 69-78-773



Wa5149020

WARSZAWA.

Nakład Filipa Sulimierskiego. Ś.-Krzyżaka Nr. 17.

1883.

<http://rcin.org.pl>

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Дня 13 Сентября 1882 года.



3

*Drukiem „Wieków.”
Nowy Świat Nr. 59.*

<http://rcin.org.pl>

PH-40642/15

WSTĘP.

Opowiadają, że cesarza Nerona wielce zajmowało pytanie, gdzie bierze Nil początek; w tym celu miał wysłać dwu setników, którzy wyruszyli w podróż w kierunku przeciwnym biegowi rzeki i posuwali się dotąd, póki im nie stanęły na zawadzie obszerne błota. Powróciwszy, opowiadali o nich, że nawet krajowcy nie znają ich rozległości, i że trudno będzie je zbadać, gdyż żegludze stoją na drodze nieprzewyciężone przeszkody. W pierwszym wieku po Chrystusie Arabowie z Aden, którzy żeglowali wzdłuż brzegu wschodniego aż do krain koło przylądka Delgado (10° szer. półn.), poznali Nil biały; karawany arabskie zapuszczały się lądem zapewne aż do obszernych jezior Nilowych, w pobliżu których i Ptolemeusz zna „góry księżycowe“, gdzie mieści źródła Nilu. Były to okolice najdalej na południe posunięte, z tych o których wiedzieli starożytni geografowie, ograniczający się na znajomości Egiptu i wybrzeży północnych Afryki. W ciągu wieków średnich nawet potężne państwo arabskie nie rozszerzyło zakresu tych wiado-

mości. Dopiero na początku wieku XV książę portugalski Henryk Żeglarz rozpoczął szereg wypraw naukowych po oceanie Atlantyckim, których następstwem było odkrycie licznych archipelagów koło brzegów Afryki północno-zachodniej, oraz wybrzeża Gwinei Górnej. Za panowania Jana II przekroczono już równik, a Bartłomiej Diaz dotarł do krańcowego punktu na południu lądu afrykańskiego, do przylądka Dobrzej Nadziei; poczem, za Emanuela Wielkiego, przedsiębiorczy i śmiały Vasco de Gama, opłynął całe wybrzeże wschodnie i przez ocean Indyjski dostał się na wybrzeże Malabarskie (1498). Portugalczycy pozakładali wiele osad handlowych na wybrzeżach Afryki, lecz nie odważali się z początku zapuszczać się daleko w głąb lądu; dopiero w czasach późniejszych Holendrzy, zamieszkali koło przylądka Dobrej Nadziei, i Francuzi w Senegambii, a w końcu Portugalczycy, zapuszczając się dość daleko do środka lądu, rozszerzyli, wprawdzie tylko częściowo, skąpe dotychczas wiadomości o Afryce. Wiadomości te mogły być o wiele dokładniejszymi i obfitszemi, gdyby właśnie ukrywanie ich i milczenie nie leżało było w interesie osadników, prowadzących korzystny handel. Założenie towarzystwa afrykańskiego w Londynie w r. 1788 nadało téj kwestyi stanowczy obrót; od tego czasu poczęto urządzać wyprawy do Afryki głównie z trzech stron: z Trypolidy, z Nubii i z Senegambii. Wyprawy takie w ciągu pierwszej połowy bieżącego wieku stawały się coraz częstszymi, rozszerzy-

ły swój zakres do zbadania całej Afryki i doprowa-
dziły za naszych czasów do nadspodziewanie pomysł-
nych wyników, któremi umiejętność geografii, słu-
sznie za dni obecnych tak ulubiona, prawdziwie szczy-
cić się ma prawo.

I. Afryka północna.

W pierwszej połowie bieżącego stulecia urzędowo trzy wielkie wyprawy do Afryki północnej. Jeszcze w r. 1823 udało się H. Claperton'owi, oficerowi marynarki, rodem ze Szkocji, odkryć jezioro Czad. Wraz z dwoma towarzyszami wyruszył on w drogę z Trypoli i doszedł do Bornu, na południo-zachód od rzeczonego jeziora. Czad w porze suchej o jedną trzecią przewyższa rozległością królestwo czeskie, a w porze deszczów o wiele rozleglejszem się staje. Liczne wyspy jeziora zamieszkuje szczerp Yedina, głośny z rozbojów. W lat pięć potem przedsięwziął nową, niemniej niebezpieczną wyprawę podróżnik francuski René Cailië, który, przebrany za kupca arabskiego, pierwszy z Europejczyków zwiedził miasto Timbaktu nad Nigrem. Jest to uader ważny punkt handlowy; ludności stałej liczy tylko około 13,000, liczba ta jednakże wzrasta co najmniej o połowę w czasie jarmarków, które przypadają na miesiąc listopad, grudzień i sty-

czeń. Najwięcej sprzedaje się tu złota, soli i orzechów, zwanych „kola“, które, zawierając znaczny procent teiny, zastępują ludności kawę. Materye bawełniane i sukno czerwone są jedynymi wyrobami, w które handel europejski zaopatruje targi tutejsze; samo miasto i okolica produkuje tylko wyroby skórzane, bardzo piękne i zręcznie sporządzone. Przez dłuższy czas potem nie słyhać o większych wyprawach aż do chwili, kiedy Francuzi, podbiwszy Algier, zatknęli swe sztandary na Saharze. Współzawodnicy Francuzów, Anglicy nie chcieli téż pozostać w tyle i starali się zjednać sobie niespokojne plemiona arabskie, które niechętnem okiem patrzyły na wzrost potęgi Francyi. W tym celu miał być wysłany J. Richardson, który odbywał podróże po Saharze północnej w r. 1845—46, do Sudanu, aby zawrzeć z tamtejszemi plemionami umowę korzystną dla Anglii. Pośredniem zadaniem wyprawy miały téż być badania naukowe; na wniosek Bunsena, posła niemieckiego przy dworze londyńskim, towarzystwo geograficzne w Berlinie powołało na jój kierowników dwóch Hamburgczyków, Henryka Barth'a i Adolfa Overweg'a. Wyprawa ruszyła z Trypoli przez oazę Fezzan do ziemi Asben na północo-zachód od jez. Czad. W podróży téj przekonali się nasi badacze, że Sahara nie jest nizina, lecz raczej wyżyną, przerzniętą licznemi dolinami i pokrytą wieloma olbrzymiemi pagórkami piasku. Po trzymiesięcznym pobycie w krainie Asben wyruszyli podróżnicy z karawaną, wiozącą sól, na południe, ku miastu Kuka w Bornu. W drodze zmarł, w skutek

gorąca i nadmiernych trudów, w nocy z 3 na 4 marca r. 1851, Richardson, tak że tylko Barth i Overweg przybyli do celu podróży. Obaj na statku, który byli przywieźli z Malty, uskutecznili wycieczkę po jeziorze Czad; poczem Barth skierował się na południe od jeziora do ziemi Adamana, kiedy tymczasem Overweg pozostał nad jeziorem. Po dmumiesięcznej podróży przybył Barth do stołecznego miasta Joli (Yola), przekroczywszy na drodze rzekę Benue, która wpada z lewej strony do dolnego Nigru. Po powrocie Barth'a, obaj podróżnicy zbadali kraje naokoło jeziora Czad, mianowicie Kanemu (na północo-wschodzie) i Bagirmi (na południo-wschodzie). Mieli następnie zamiar zapuścić się w kraje, położone między jeziorem a Nilem; lecz na nieszczęście Overweg, zapadłszy na febrę, zmarł 27 września 1852; poczem Barth puścił się drogą na zachód ku Nigrowi i dotarł do miasta Saa na granicy między środkowym i dolnym brzegiem tej rzeki. Ma ona w tem miejscu do 1000 kroków szerokości, a płynie z szybkością 20 kilometrów na godzinę. Barth nie szedł wzdłuż rzeki, ponieważ Niger od Timbuktu zatacza łuk na południe, lecz w kierunku prostym i przybył do rzeczonoego miasta 7 września r. 1853. Po siedmiomiesięcznym tamże pobycie, podczas którego nieustannie musiał się mieć na baczności i nie mógł się do łóżka położyć bez broni, powrócił znów do m. Kuka. Nim jeszcze dosięgnął celu, spotkał się z E. Voglem z Lipska, którego w lutym r. 1853 wysłano z Anglii, aby ze stanowiska astronomicznego oznaczył kraje odkryte przez obu badaczy.

Spotkanie nastąpiło między Kano a Kuka; poczem Barth udał się do tego ostatniego miasta, stamtąd dotarł do Murzuku na Fezzanie i dnia 8 września r. 1855 wylądował w Marsylii. Vogel zamierzał przedrzeć się od jeziora Czad ku Nilowi, lecz na rozkaz sułtana Wadaj'u (na wschód od jeziora) został zamordowany. Na odszukanie podróżnika wyprawiono aż 7 ekspedycji; z nich dopiero ta, którą dowodził K. Beurmann cel osiągnęła, lecz i ten podróżnik śmiercią przypłacił swą odwagę (w styczniu r. 1863).

W tym samym czasie kiedy badano Saharę środkową i wschodnią, rozszerzał się zakres wiadomości, o zachodniej jej części, która dotychczas mało była znana. Już w r. 1852 podróżnik francuski L. Panet przebył ją w kierunku od St. Louis, osady francuskiej przy ujściu rz. Senegalu, do miasta portowego Magadoru na terytorium marokańskim. Jego następcą był również Francuz, Vincent (r. 1860). Ludność tych okolic składa się z pasterzy berberyjskich, którzy w krajach, leżących bliżej Senegalu, znajdują dość pastwisk dla stad swoich. Płeć ich jest brunatna; z oczu patrzy bystrość; włosy mają kędzierzawe. Kobiety nie zakrywają twarzy, lecz noszą długie szaty, odziewające całe ciało. Berberowie tutejsi nie kochają się wprawdzie w wielożeństwie, lecz za to w rzeczy rozrodu nie szukają ważnych przyczyn. Między 21—23° szer. półn. ma swe siedziby plemię „Uled-Delim“, którego niewiasty słyną z wdzięków. Włosy mają gładkie, oczy wielkie, nos grecki, zęby białe wysmukła kibić, oraz zgrabne ręce i nogi dopełniają

powabnej całości. Z miast zasługuje na wzmiankę Szyngit, którego mieszkańcy trudnią się głównie kopaniem soli w pobliskich kopalniach i rozwożeniem; znajduje się ono w krainie Aderer, którą z północy odgradzają olbrzymie wzgórza piasku. Stąd prowadzi droga koło innego pasma, bardziej na północ położonego, Tiris, do Tafiletu, głównej oazy pomiędzy południowych marokańskich. Na wschód od drogi karawanowej, prowadzącej z Tafiletu do Timbaktu, leży kraj Tuaregów, którzy zamieszkują Saharę środkową. Kraje te przebył w r. 1859 podróżnik francuski J. Duveyrier; zwiedził on naprzód Tuggurt, główne miasto Vad Rhir'u, następnie oazę Ghardaja, zwłaszcza stołeczne jój miasto Gerara, zbudowane na pagórku i dość dobrze obwarowane. Mieszkańcy wyznają wiarę mahometańską w formie pierwotniejszej niż inni muzułmanie, choć ci ostatni mają ich za kacerzy. Stamtąd podążył Duveyrier ku oazie El-Golea, na południo-zachód od Ghardaja, i po szóstciu dniach przybył do niej pierwszy z Europejczyków. Miasteczko na owej oazie liczy 1300 głów i dzieli się na dwie części: górną, zbudowaną na skale i opasaną wysokim murem, tudzież dolną między pierwszym pagórkiem i na pochyłości drugiego mniejszego. Domy składają się poprostu z czterech ścian glinianych, pokrytych gałęzmi palmowemi; zawierają 2—3 izdebek i małe podwórko. Od tej oazy, znajdującej się na południowej granicy Algieru, prowadzi droga dalej w kierunku południowo-zachodnim ku całej grupie oaz, zwanej Tuat; głównem miastem jest tu Salah, któ-

rego ludność pośredniczy w handlu między Afryką północną a środkową. Na wschód od rzeczonyj miejscowości, nad granicą algierską lecz już w państwie trypolitańskim, znajduje się ważna oaza Ghadames. Ludność, według relacyi Duveyrier'a, należy do szczepu berberyjskiego, różni się wszakże od Tuaregów pochodzeniem, mową a zwłaszcza zręcznością w przemyśle i handlu. Na południe od krajów, o których była mowa, leżą siedziby potężnych Tuaregów, koczowników berberyjskich, które sięgają na wschodzie aż do Tuat'u, na południu do Timbaktu, a na północy do południowych oaz algierskich. Postawy kształtnej i wzrostu dobrego, uchodzą za najpiękniejszy typ Afrykańczyków. Ubierają się całkowicie, po największe części w materiją bawełnianą barwy ciemnoniebieskiej twarz zasłaniają dwa razy obwinietą chustką „litham“ w ten sposób, że tylko środkowa część oblicza i koniec nosa wygląda, a oczy i nos są zabezpieczone od piasku. Dzielą się na wiele pokoleń, z których liczne z powodu usposobienia wojowniczego nieustannie toczą z sobą walki.

Wschód Sahary zajmują przeważnie Tibbuowie; kluczem do ich krajów jest Trypolis, skąd też po większej części puszczają się podróżnicy po tych krainach. Stąd także wyruszył w pamiętną trzecią podróż po Afryce północnej sławny podróżnik niemiecki Gerard Rohlfs, rodem z Bremy (1865). Już w r. 1861 wyprawił się był Rohlfs w pierwszą podróż do Marokko, gdzie, zyskawszy względy osób u steru rządu będących, przebył rok cały, spędzając czas na licznych i dalekich

wycieczkach po kraju. Według poglądu Rohlf's'a, łańcuch Atlasu ciągnie się tylko w Marokko, dalej zaś na wschód położone pasmo algierskie inny już nosi charakter, składając się z obszernych wyżyn, przed którymi wznoszą się grzbiety górskie. Właściwy Atlas ma kształt podkowy, zwroconej ku północo-zachodowi i kończącej się z jednej strony przyłądkiem El-Deir nad morzem Śródziemnem, z drugiej zaś przyłądkiem Ghir nad oceanem Atlantyckim. Ku północo-zachodowi pasmo przechodzi w nizinę stopniami; na południo-wschodzie zaś spuszcza się spadzisto, wysyłając przytęm (pod 31° szer. półn. a 5° dług. zach.) na południo-zachód obszerne pasmo, biegnące równoległe do Atlasu. Niedaleko znajduje się właściwy węzeł górski, z którego biegnie więcej odnóg na wschód i południe; zarazem wyniosłość traci w tych stronach charakter łańcucha górskiego, zachowując go tylko w kierunku północnym aż do swego krańca nad morzem Śródziemnem. Wyniosłość Atlasu zwiędził w późniejszym czasie (na wiosnę r. 1871) botanik angielski J. Hooker; zatrzymał się on najdłużej w części zachodniej i zauważył, że suchość powietrza, płynącego od strony Sahary, którego nawet śnieg obficie w górach leżący (choć jeszcze w miesiącu kwietniu trzymał się na wysokości 2400 metrów) i tający w lecie nie jest w stanie wilgocią nasycić, jakoteż nadzwyczajna stromość skał stoi na zawadzie rozwojowi roślinności.

Ludność marokańska jest mieszaniną Arabów, Berberów, Żydów i Murzynów; główną wszakże klasą

są Berberowie, posiadający $\frac{4}{5}$ wszystkich gruntów; kiedy tymczasem $\frac{1}{5}$ tylko należy do Arabów, jakkolwiek ci ostatni składają $\frac{2}{3}$ wszystkiej ludności. Berberowie mówią narzeczem „szellah“, które téż stanowi właściwie cechę odróżniającą ich od Arabów; zresztą bowiem z powierzchowności i innych cech cielesnych są do siebie podobni. Kobiety, tak Berberów jak i Arabów, dojrzewają szybko, odznaczając się w młodości piękną powierzchownością i po większej części przyjemną twarzą; lecz, dorósłszy, z wiekiem szybko się starzeją, a przy niedostatecznym pożywieniu chudną i w samej starości wstrętnemi się stają z powodu licznych zmarszczek. Życie rodzinne nosi charakter patryarchalny. Nazwisk rodowych nie używają; mają tylko imiona: Arabowie, biblijne lub z koranu wzięte, Berberowie, berberyjskie i pogańskie. Dzieci nie wychowują starannie; przez pierwsze dwa lata matka nosi dziecko na plecach i karmi je piersią; później oddają chłopca na naukę do taleba lub do fakima; tam wielu z trudnością do tego dochodzi, że się nauczą na pamięć kilku rozdziałów z koranu, których potrzeba do codziennych modłów. Dorósłszy, córki pomagają matce w gospodarstwie domowém, synowie pasą stada, uprawiają rolę i trawią pozostałą część roku w bezczynności. Żydzi marokańscy mieszkają po miastach w osobnych dzielnicach; liczą ich do 200,000. Mężczyźni słyną ze strasznego niechlujstwa i zaniedbanej odzieży; za to żydówki odznaczają się kształtnem ciałem i powabnym obliczem. Napotykaemy również w Maroko wielu Murzynów, przeważnie

z krajów nad górnym Nigrem; położenie ich jest znośne, gdyż, po większej części, będąc z początku niewolnikami, otrzymują później wolność.

W następnym (1862) roku udał się G. Rohlfs w drugą podróż, z Tangeru (nad cieśniną gibraltarską) przez oazę Tuat do Trypolidy; a zaledwie wrócił z tej wyprawy do Europy, pośpieszył znów w marcu r. 1865 do Trypoli, by po raz trzeci puścić się w wędrówkę po Saharze. Pierwotnie miał on zamiar skierować się prosto ku Timbuktu; atoli po dłuższym pobycie w Ghadames zmuszony został przez Tuaregów zawrócić do Misdy. Stamtąd skierował się do Murzuku, którego mieszkańcy trudnią się przeważnie handlem niewolnikami, tudzież różnemi wyrobami, sprowadzanemi tutaj z wnętrza Afryki. W dalszym ciągu zwiędził oazę Bilmu, leżącą na drodze ku jezioru Czad. Przybywszy do Kuka, stolicy Bornu, doznał uprzejmego przyjęcia ze strony sułtana Omara. Według opisu Rohlfs'a miasto samo, położone na brzegu zachodnim jeziora, składa się z dwóch dzielnic, przegrodzonych szeroką przestrzenią; obie dzielnice są ufortyfikowane i otoczone dokoła małemi wioskami i gromadkami domków. Prócz głównej ulicy „Dendal“, na której ustawicznie panuje ruch ożywiony, jest tu cicho; najruchliwszem staje się miasto wtedy, gdy 15—20,000 ludzi ze wszystkich niemal krajów przybywa na jarmark.

Na południo-zachodzie im dalej, tem więcej lasów się napotyka: rosną one na gruncie płaskim,

miejscami falistym, w ogóle wzniesionym, gdy tymczasem na południu rozciąga się bagnista kraina Ulandala.

Rohlfs zamierzał puścić się stamtąd do państwa Wadaj'u; zważywszy jednak niebezpieczeństwo takiego przedsięwzięcia i widząc brak potrzebnych środków, postanowił wyruszyć w kierunku południowo-zachodnim ku wybrzeżu gwinejskiemu. Tą drogą doszedł do wielkiego miasta Jakoba w państwie Bauczy, które, zajmując przestrzeń górzystą, cieszy się klimatem umiarkowanym; prócz tego bliskość rzeki Benue, która stąd toczy swe fale na południe, ułatwia komunikacją handlową z przystaniami w Gwinei. Wędrując dalej, doszedł 19 marca r. 1867 do rz. Benue, po której płynąc w łodzi z pnia wydrążonego, przybył 28 marca do osady angielskiej Lokoja. Po krótkiej żegludze w górę Nigru, udał się znów przez lesistą krainę Joruba, leżącą na północ od zatoki Benin; tu znowu dosięgnął miasta portowego angielskiego Lagos, ważnej osady handlowej, skąd już na okręcie angielskim popłynął do Liverpool'u.

Na zimę r. 1874 Rohlfs wyruszył w nową podróż po Saharze, zamierzając zwiedzić część jej najdalej na wschód posuniętą, mianowicie pustynię Libijską. Według jego sprawozdań, kraj ten należy do najstraszniejszych pustyni i zupełnie da się porównać do morza piasków. Już na samym wybrzeżu, wylądowawszy w pobliżu zatoki Wielkiej Syrty, przekonywamy się, że to pustynia; aczkolwiek nieco bardziej na wschód, gdzie się wznosi wyniosłość wapnista, spotykają się

pojedyncze miejscowości urodzajne, jak na przykład kraina między miastami Benghasi a Dernet. Posuwając się na południe, spostrzegamy, iż wyniosłość stromo przechodzi w głęboką wklęsłość, w której znajdują się dwie oazy: Andżyla i dalej na wschód Sivah; ta ostatnia ze swemi jeziorkami, bujnemi lasami palmowemi i gajami pomarańczowemi, figowemi i oliwnemi, podobną jest do małego raj. Dalej ku stronie południowej pustynia wznosi się bardzo nieznacznie, poczem spadzisto spuszcza się na wschodzie ku krajom nad Nilem; granice zaś południowe i zachodnie są zupełnie nieznanne. W jesieni r. 1878 puścił się tenże podróżnik na nową wyprawę po Afryce północuėj, mianowicie w towarzystwie czecha d-ra Steckra.

Do najgodniejszych uwagi podróży po Afryce północnej należy w najnowszych czasach (1869—74) podróż Niemca dr. Gustawa Nachtigal'a. Podróżnik ten, za wiówszy sułtanowi Bornu podarki od króla pruskiego, zwiedził, po sprawieniu swego poselstwa, ziemię naokoło jeziora Czad, zwłaszcza państwo Wadaj, skąd przez Darfur, Kordofan i Egipt powrócił do Europy. Wyruszył w połowie lutego r. 1869 z Trypoli do Murzuku, dokąd przybył po 36 dniach podróży; z Murzuku udał się do Tybesty, oazy leżącej na południo-wschodzie. Był to pierwszy europejczyk, który się odważył wkroczyć do środka ludności, głośniejszej po całym obszarze Sahary z chciwości, chytrości i okrucieństw, mianowicie: plemienia „Reszadów.“ Kiedy w lipcu przybył do pierwszej wioski Tao, która właściwie z kilku tylko rozwalonych chat się składa, nie

zastał tam żadnego mieszkańca; brak żywności zmusił jej ludność, zamieszkałą na równinie, albo się usunąć w góry Tarso, które wzdłuż Tibesti z północy na południe się ciągną, lub przesiedlić się do Bardaju, stolicy kraju, leżącej na wschodnich stokach łańcucha. Stamtąd udał się Nachtigal doliną Zuarską na południe; wody tam większa obfitość, roślinność bujniejsza, i kraj cały przedstawia się bardziej malowniczo. Ponieważ jednak ludność stawiała mu na drodze przeszkody, musiał powrócić do Tao. Za to przedsięwziął podróż do miasta Bardaj'u. Droga prowadziła przez pagórki piaszczyste, kamieniem wapiennym pokryte; przekroczywszy łańcuch w pobliżu najwyższego szczytu Tusidda (2400 metrów) i spuściwszy się ze stoków gór znalazł się w Bardaju, gdzie go bardzo niegościnnie przyjęto. Jeszcze na drodze był w niebezpieczeństwie, aby ludność, podniecona przez fanatyków murzułmańskich, krzywdy jakiej mu nie wyrządziła; z trudnością dostał się do domu naczelnika Arami'ego, który mu schronienia użyczył. Sułtan nie chciał go do siebie przepuścić; to też Nachtigal, miejscowości nawet w ogólnych zarysach nie poznawszy, rad był, że przy pomocy swego opiekuna szczęśliwie powrócił do Murzuku.

W roku 1872 powziął Nachtigal zamiar zbadać ziemię Bagirmi, na południo-wschód od Bornu. W kraju tym i w ziemi niżej na południe położonej mieszkają murzyni, zwani „Sonrhaj“, wzrostu średniego i dość przyjemnej twarzy. Odzienie ich składa się ze skór kóz, gazeli lub dzikich kotów, któremi przepasują bio-

dra; włosy pielęgnują z wielką starannością i splatają je w warkocze grzebieniaste lub skręcone w kształcie rogów. Uzbrojeni dzidami i nożami harczą zręcznie na małych konikach bez siodła. Wierzą w Najwyższą Istotę, która przemawia do nich gromem a objawia się drzewem; z tego drzewa naokoło obłupują korę, i trzymają je w małej chałupce w pobliżu swych mieszkań. W czary najmocniej wierzą; śmierć naczelnika albo ulubionego konia przypisują sprawie czarownika. Są pilnymi rolnikami, a płody rolnictwa wymieniają na tytoń, perły i muszle „kauri“; prócz tego hodują także kozy, owce, a zwłaszcza psy dla mięsa.

W następnym roku wyruszywszy z Kuki, udał się Nachtigal na południe od jeziora Czad, przez Fitri do Abeszr'u, stołecznego miasta Wadaju. Tutaj doznał bardzo łaskawego przyjęcia od szejka Alego i mógł swobodnie prowadzić swe badania. Ludność, odznaczająca się usposobieniem swarliwem i okrutnem w skutek nadmiernego picia „melissy“, nie posiada zdolności do przemyśłu, jak o tém świadczą bardzo biedne chaty, niepozorne sprzęty domowe i tkaniny bardzo niezręcznie wyrobione. Prócz tego cierpi wiele miejscowości brak wody. Handel niezbyt kwitnie. Pod rządami Alego wiele rzeczy się polepszyło; głównie dba on o to, ażeby każdy płacił długi, nie pożądał cudzego dobra, w boju był waleczny, i aby handel się wzmaczał.

Na wschód od Wadaju znajduje się kraina Darfur, w Sudanie wschodnim, wcielona od r. 1874 do

państwa egipskiego; tę także zbadał Nachtigal. Podróżnik nasz przekonał się, że ziemia jest nieurodzajna z powodu braku wody; napotykamy wprawdzie potężne drzewa, lecz w ich cieniu nie można używać chłodu dla mnóstwa ostu. Zwiędził też Nachtigal sąsiedni Kordofan. Kraj ten sięga na wschodzie aż do Białego Nilu i zajmuje już część wielkiej doliny Nilowej, gdy tymczasem na zachód od głównego miasta El-Obeid ma charakter bardzo jednostajny. Przewędrowawszy tę ziemię, udał się Nachtigal z powrotem przez Egipt do Europy.

Zwiędziwszy z naszymi podróżnikami Saharę, Sudan środkowy i wschodni, zwrócimy teraz uwagę na badanie tych ziem, które do dziś dnia bardzo mało są znane, mianowicie w Sudanie zachodnim. Pierwszym podróżnikiem europejskim po tych krajach był Mungo Park, który właśnie zagał szereg najnowszych badań w tym kierunku. Pierwsza jego wyprawa odnosi się do lat 1795—97, kiedy go towarzystwo londyńskie wysłało w celu, ażeby od strony Gambii dostał się do wnętrza lądu stałego. Ujście téj rzeki należy do Anglików, również jak kilka osad okolicznych, między którymi główną jest Bathurst. Na południe od tej rzeki leżą na wybrzeżu siedziby Mandyngów, a sięgają aż do zachodnich i północnych stoków łańcucha, z którego wypływają: Senegal, Gambia i Niger. Przez terytoryum owych Mandyngów posuwał się Mungo-Park do wnętrza. O Mandyngach podaje bardzo zajmujące wiadomości, z których przytaczamy następujące. Mężczyźni są wzrostu średniego, dobrze zbud-

wani i silni; kobiety łączą z piękną powierzchownością żywość i dobroć. Ciekawość, łatwowierność, zamilowanie w ozdobach są powszechnymi rysami. Mężczyźni okazywali wielką chęć okraść podróżnika, o czem stąd wnosili, iż rzeczy jego miały dla nich wielką wartość. Stosownie do usposobienia osobistego to okazywali chciwość, to znów przez gorliwość w wierze byli mu nieprzyjaźni; za to kobiety okazywały mu zawsze współczucie, a w chorobach serdecznie go pielęgnowały. Wielożeństwo jest u nich zwyczajem. Młodzieniec, upatrzawszy sobie dziewczynę po swój myśli, stara się zawrzeć z rodzicami umowę o wynagrodzenie, przyczem jako zadatek daje im kilka orzechów, które z nim spożywają; zezwolenie dziewczyny na związek nie jest koniecznym. W dzień wesela zabijają barana lub wołu; wieczorem starsze niewiasty ubierają pannę młodą w szatę weselną z białej bawełny, sadzają pośrodku chaty i udzielają jej rad, a młode dziewczęta kołem tańczą i śpiewają. Tymczasem pan młody bawi swych gości przed chatą i ugasać ich przy odgłosie śpiewów i tańców, które zazwyczaj przez całą noc trwają. O północy starsze niewiasty odprowadzają pannę młodą do chaty, która ma jej służyć odtąd za mieszkanie, i pan młody na dany znak oddał się. Zrana kobiety wypuszczają nowozaślubionych, oglądają łoże i tańczą naokoło niego; inaczej związek byłby nieważny. Dzieci karmią do trzeciego roku; ledwie że dziecię zacznie chodzić, pozostawia mu się zupełna swoboda i tym sposobem zmuca się, aby się samo wystrzegało niebezpieczeństw.

Doszedłszy do lat, dziewczęta przędą bawełnę i wykonywają różne prace domowe; synowie pomagają w pracy na polu. Mieszkania są to niewielkie, niewygodne chatki; pewna liczba chatek, w których najczęściej pojedynczo mieszkają żony, ogrodzona jest płotem i tworzy siedzibę jednej rodziny. Więcej rodzin tak spółem mieszkających w sąsiedztwie stanowi wioskę.

Lata liczą podług dészczów, rok dzielą na miesiące, a dnie oznaczają podług słońca. Gdy się pokaże księżyc po nowiu, sądzą, że nanowo powstał i modlą się, dziękując Najwyższemu; po takiej modlitwie plują sobie naręce i myją twarz.

Mungo Park szedł z początku przez posiadłości Mandyngów, aż przybył do miasta Mediny, na pograniczu między środkowym i dolnym biegiem Gambii; tam spotkał się z królem tej krainy, który mu udzielił pozwolenia na przejście przez jego ziemię. Przeprawiwszy się na prawy brzeg Gambii, dostał się do państwa Bondu, a 21 grudnia r. 1795 do miasta stołecznego, Fattekondy. Tutaj podobnie miał posłuchanie u króla, któremu tak się spodobał niebieski surdut naszego podróżnika, iż tenże musiał monarsze darować swe ubranie. Odwiedził także żony królewskie, które najbardziej podziwiały jego białą cerę i kształt nosa. Przebywszy Senegal w górnym biegu skierował się Mungo Park ku północo-wschodowi do państwa Kaarty. Król tamtejszy radził mu, ażeby nie szedł dalej, z powodu wojny z sąsiednim państwem Bamba-

ra; lecz Mungo Park nie usłuchał rady i został wzięty do niewoli przez Alego w Sudamarze. Uciekwszy z niewoli, udał się dalej w kierunku południowo-wschodnim. W pobliżu miasta Segu dosięgnął, pierwszy z Europejczyków, rzeki Nigru, a po krótkiej podróży w kierunku wschodnim dostał się aż do miasta Silli; tu postanowił wrócić.

W drugiej podróży (1805 r.) doszedł aż za Medinę pierwszą drogą; potem skierował się ku rzece Nigrowi przez łańcuch Tambaurski, Koinę i Maniakorro do miasta Bangassi, skąd, dla braku ryżu, pośpieszył ku granicy Bambarskiej. Koło Bammaku dosięgnął Nigru i popłynął aż do Sansadingu, bardzo ożywionego miasta handlowego. Mansong, władca Segu, obiecał dać naszemu podróżnikowi za hojne podarunki łodzie do dalszej wyprawy, posłał mu wszakże po długiej zwłoce tylko trzy, po większej części niezdatne do użycia, z których dopiero nową trzeba było zrobić. Dnia 16 listopada ukończył Mungo Park swój dziennik i posłał go przez tłumacza Izaaka do Gambii, jakby przeczuwając bliski koniec życia; rzeczywiście też, w czasie dalszej żeglugi po Nigrze, do ujścia którego chciał się dostać, spotkała go śmierć koło Bussy między nieprzyjawnymi murzynami.

Zamiar Mungo Parka podjął znów w r. 1818 podróżnik francuski Mollien. Jak wiadomo, kraj od ujścia Senegalu aż do wybrzeża Sierra-Leone, pod nazwą Senegambii, pozostaje w posiadaniu Francuzów; wpływ ich rozciąga się po części i dalej od brzegu na

plemiona murzyńskie. Mollien oznaczył najpierw źródła Senegalu, jak również Gambii i Rio-Grande. Przez długi czas nic w tych stronach nie przedsiębrano w tym kierunku; aż dopiero niedawno, za rządów generała Faidherbe'a, ówczesnego gubernatora Senegambii, udali się oficerowie marynarki francuskiej w podróż po Sudanie górnym. Zasluguje zwłaszcza na uwagę wyprawa oficera E. Mage'a i dr. Quintiu'a w latach 1863—66. Puścili się naprzód w górę Senegalu, przyczem ci, co nie mogli płynąć w łodziach, szli wzdłuż rzeki; tak dostali się do Medyny, najdalej na wschód w tych stronach położonej osady francuskiej. Stamtąd posuwali się wzdłuż rzeki, aż dosięgnęli monej warowni Kundian; poczem, po trzech dniach podróży przez pustynię, oddalili się od Senegalu i skierowali się więcej ku wschodowi, do państwa Segu, którego stolicę również zwiędzili.

Na południe od Senegambii leży niewielka osada angielska Sierra-Leone, której ludność składa się z murzynów „Gallinas“. Charakteru są oni bojaźliwego i grze namiętnie się oddają; odznaczają się zręcznością w stawianiu warowni, w wyrzynaniu z drzewa i obrabianiu żelaza. Jeszcze dalej na południe graniczy z tą krainą niezależne państwo murzyńskie Liberia, skąd w. r. 1868 murzyn Benjamin Anderson przedsięwziął podróż do Musardu w ziemi Mandynków; podróż ta zasługuje na uwagę przez to, iż wtedy po raz pierwszy w tych stronach przekroczone łańcuch i dowiedziono, że ów system gór nie jest bynajmniej nieprzerwanem pasmem.

W końcu wypada nam zwrócić uwagę na badania, dokonane na wschodzie Afryki północnej, a dotyczące się Egiptu i krajów nad morzem Czerwoném. Pomijając zmiany, przez które przechodził Egipt właściwy w najnowszych czasach, ograniczymy się na badaniach nad górnym Nilem. Nubia zwiędził jeszcze w latach 1812—14 podróżnik szwajcarski J. L. Burckhardt; w krótko po nim, w r. 1819—22, Francuz Fran. Calliaud zapuścił się Nubią górną aż do 10° szer. półn. Źródła Nilu niebieskiego oznaczył jeszcze w końcu zeszłego wieku podróżnik angielski J. Bruce; jego porzecze i układ pionowy tych krajów zbadali dwaj podróżnicy francuscy: K. Lefebvre w l. 1839—43 i G. Lejean w latach między 1862—64. Dwie wyprawy Mehemeda Alego, z których pierwsza doszła wzdłuż Nilu do 6° szer. półn. (1839), a druga (1842) aż do miasta Gondokoro, jak również podróże w tym samym czasie Austryjaka Józ. Rusegerra po krajach na południe od Kordofanu, rozszerzyły znajomość krajin nad górnym Nilem. Znajomość takowa z biegiem czasu coraz rosła, gdyż wice królowie Egiptu, postępując w podbojach, rozszerzali swą władzę na południu. W téj epoce miasto Chartum, leżące przy zbiegu Nilu niebieskiego z białym, stało się punktem środkowym dla wszystkich podróżników, którzy zamierzali dostać się z północy wzdłuż rzeki Nilu do wnętrza Afryki. W tém pierwszym mieście handlowem nad górnym Nilem schodzą się wszystkie ważniejsze drogi karawanowe.

Na południe od Chartum a na wschód od Kordofanu, o którym jużemy wspominali, znajduje się między obu Nilami kraina Sennaar. W północnej swej części jest ona zasiana miastami i wioskami, zamieszkanymi przez ludność bardzo mieszaną; kiedy tymczasem środkową część stepową zaludniają koczujący Arabowie, na południe zaś mieszkają murzyni, zwani Hammedzowie, stanowiący przejście do murzynów Afryki środkowej. Idąc ku wschodowi przybywamy do Abisynii, która przez góry różni się zasadniczo od sąsiednich krajów zwrotnikowych. Południowe prowincje tej ziemi zwiedził w r. 1872 austryak A. Marno, który posunął się też dalej na południe do kraju Gallaów. Abisynia (czyli Habesz) jest to kraj górzysty, do którego prowadzi mało przesmyków górskich i to bardzo niewygodnych; wyniosłość wznosi się stopniami, przecięta jest licznymi pasmami, które otaczają główną wyniosłość, wysoką na 2200 metrów; na niej leży piękne jezioro Cana, w którym początek bierze Nil niebieski.

II. Afryka południowa.

Ze wszystkich podróżników, którzy się poświęcili badaniu Afryki południowej, najwięcej zasług położył Szkot Dawid Livingstone. Był on synem biednego ojca, pierwotnie zajmującego się sprzedażą herbaty, potem dyakona przy kościele independentów w Hamiltonie. W dziesiątym roku swego życia musiał Dawidek chodzić na zarobek do przędzalni; za pierwsze zarobione pieniądze kupił sobie gramatykę łacińską, a niezależnie od tego uczył się pilnie do szkoły wieczornej. Z zamiłowaniem czytywał podróże i nareszcie postanowił udać się jako misjonarz do Chin. Zostawszy licencyjatem medycyny, już zamierzył tam wyruszyć, kiedy (r. 1840) wybuchła wojna między Anglią i Chinami. Udał się wtedy do Afryki południowej, gdzie przez lat 16 pracował jako nauczyciel i lekarz, między póldzikiemi, lecz spokojnemi plemionami, odbywając zarazem podróże, które mu zjednały imię sławnego. Pierwszem jego dziełem było przejście

pustyni Kalahari, która się uważała za szaniec między północą a południem. Kraj ten leży na północ od środkowego biegu rzeki Pomarańczowej, aż do jeziora Ngami; słynie jako pustynia. dlatego że nie ma wody bieżącej ani studni, jakkolwiek posiada dość trawy i żywi sporo ludności; rośnie tam wiele traw i niskich krzaków, a nawet drzewa; pustynia jest równiną, choć przerznąta wyschłemi łożyskami rzek. Sprzeczne napozór zjawiska powyższe Livingstone objaśnia w ten sposób, że położone na krańcach pustyni pagórki i skały dostarczają jej wody, która biegnie podziemniemi żyłami. Okolicę tę zamieszkują Bakalaharyowie, plemie betszuańskie, lud charakteru łagodnego, spokojny, utrzymujący się z chowu kóz, oraz z hodowli tykw i melonów. Oprócz nich mieszkańcami pustyni są Buszmanowie, lud koczowniczy, żywiący się zwierzętami upolowanemi, jakotóż korzonkami i jagodami, które im żony zbierają.

Za pustynią doszedł Livingstone do ważnej rzeki Zouga, której brzegiem się posuwając dosięgnął jeziora Ngami. W Kapsztadzie wiedziano o niem przedtém z opowiadań krajowców; po raz pierwszy wtedy (1 sierpnia 1849) ujrzał jezioro to Europejczyk. Zajmując znaczną przestrzeń, nie ma ono jednakże znaczenia dla żeglugi, gdyż brzegi są piaszczyste, porośłe trzciną i bagniste, woda zaś bardzo płytka; tak że łodzie trzeba drągami popychać. W porze deszczowej za to przybywa mu znacznie wody, przez co rozmiary jego są znów o wiele poważniejsze.

W drugiej podróży (1850) umyślił Livingstone założyć osadę handlową i misyjną; zabrał też z sobą żonę i dzieci. Droga prowadziła brzegiem rzeki Zougi; jednakże, z jednej strony mucha „cece“, z drugiej choroby dzieci zmusiły naszych podróżnych do rychłego powrotu. Zaraz wszakże na wiosnę roku następnego (1851) wyruszył Livingstone w nową podróż. Przebywszy Zougę, skierował się na północ do ziemi plemienia Makololo nad rzeką Czobi. Rządził tam naczelnik Sebituane, który, rad będąc zawiązać stosunki z białymi i dowiedziawszy się o zamiarach Livingstone'a, polecił innym naczelnikom, aby naszemu podróżnikowi przychodzili w pomoc w czasie wyprawy. Droga prowadziła przez kraj z bagnami solankowemi, następnie przez pustynię do ziemi plemienia „Banajoa“, które, mieszkając w pobliżu bagien, cierpi wiele od komarów; stamtąd po dłuższej podróży dosięgnął Livingstone brzegów rzeki Czobi, która graniczy z państwem Sebituana. Ponieważ na brzegu południowym dokuczały muchy „cece“, przeprowił się Livingstone na brzeg północny, gdzie ich już niéma; jednakże w drodze 43 woły padły ofiarą. Mucha cece (glossinia morsitans) nie większa od naszej muchy, barwy brunatnej jak pszczoła, ze 3—4 żółtymi prążkami na tyle. Za pomocą długich skrzydeł lata bardzo zwinnie, wydając sobie właściwe brzęczenie. Ukąszenie jej jest niebezpieczne dla wołów, koni i psów; lecz ludzie, zwierzęta dzikie i ssące cielęta są od ukąszeń wolne. Jad dostaje się nie przez żądło, ani przez zniesione pod skórą jajeczka; można widzieć, jak mu-

szka przy ssaniu wpuszcza pod skórę ryjek i znów go wyciąga, przyczem staje się koloru czerwonego, a odwłok jęj się nadyma. Zwierzę ukąszone czuje swędzenie, jakby od komara; po jakimś czasie z uszu i oczu poczyną płynąć materya, sierść się najeża, stworzenie nagle chudnie, mięśnie tracą sprężystość, aż nakoniec biedne zwierzę zdycha. Silne woły chudną szybko po ukąszeniu; jeżeli zrobić sekcją na zdechłym zwierzęciu, pod skórą znajdujemy sieć komórek podobnych razem do mydlin, tłuszcz staje się zielonożółtym i oleistym, trzewia są blade i puste, pęcherz żółciowy nadęty, a zwierzę tak mało krwi posiada, że ledwie rękę możnaby w niej powalać. Osłom, kozom, antylopom, bawołom mucha ta nie szkodzi, choć ich pokrewieństwo z wyżej rzezonemi jest dość bliskie. Nie znosi zapachu gnoju; dlatego też lekarze krajowcy mieszają łajno z mlekiem ludzkim i ziołami i tą mieszaniną pociągają zwierzęta; środek taki pomaga w każdym razie tylko chwilowo.

Po krótkiej żegludze na Czobi spotkał się Livingstone z naczelnikiem Sebituanem na wyspie, dokąd tenże podążył na wieść o przybyciu białych. Serdecznie powitany, zyskawszy zapewnienie swobodnego podróżowania po krajach sąsiednich, przybył Livingstone do głównej osady Linyanti w towarzystwie Sebituana. Na nieszczęście, ten ostatni wkrótce potem zakończył życie; jednakże i następczyni jego, córka, zostawiła naszemu podróżnikowi zupełną wolność, z której on korzystając udał się w kierunku północno-zachodnim, i w koncu lipca r. 1851 doszedł do rzeki

Z ambezi, największej w Afryce południowej. Ponieważ te kraje były niezdrowe, a Livingstone podróżował z rodziną; postanowił zatem wrócić do Kolobengu, stamtąd wyprowadzić rodzinę z powrotem do Anglii i wtedy przedsięwziąć nową wielką wyprawę. Była to trzecia w ogóle podróż jego, a pierwsza z szeregu wielkich. W lipcu r. 1852 opuścił Kapsztad i przebywszy rzekę Pomarańczową wkroczył na terytorium plemienia „Griqua“, pochodzącego od krajowców pomieszanych z Europejczykami; stąd ruszył dalej w kierunku północnym ku rzece Czobi do miasta Linyanti, do którego zawitał 23 kwietnia 1853 r. Tutaj, po krótkim panowaniu starszej siostry, rządził syn Sebituana, ośmastoletni Sekeletu, który, podobnie jak niegdyś ojciec, przyjął Livingstone'a bardzo gościnnie.

Plemię panujące, Makololo, rozproszone jest po różnych okolicach; główne zaś jądro ludności tworzy plemię niewolnicze, zwane Makalaka tj. słudzy. Zajmują się uprawą pól i hodowlą dobytku, któremu wiele starań poświęcają; dopóki rogi rosną, zeskrobuje je z jednej strony, żeby róg w tę stronę się zakręcał; rozgrzanymi nożami wypalają pręgi na ciele, żeby ostatecznie inne przybrało zabarwienie. Dla Livingstone'a już byli przygotowali pole zasiane kukurydzą; naczelnik podarował mu woły i krowy, lecz o nauce chrześcijańskiej długo słyszeć nie chciał. Przecież udało się naszemu misjonarzowi nauczyć kilku mężczyzn abecadła. Pobywszy tam kilka tygodni, udał się

Livingstone w dalszą drogę na północ ku rz. Zambezi i na 33 łodziach popłynął w górę doliną Barocu, którą, podobnie jak dolinę Egiptu, zalewa woda, tak iż wioski tylko sterczą nad powierzchnią wód, niby wysepki. Nie znalazłszy ani tutaj miejsca dogodnego na osadę, postanowił znów wrócić; w mieście Narzele rozłączył się z naczelnikiem i płynął rzeką aż do miasta Seszeke, skąd powrócił do Linyanti. Z Linyanti powziął zamiar udać się na wybrzeże zachodnie, do osady portugalskiej Loandy. Naczelnik dał mu 27 krajowców za przewodników; między nimi było dwóch Makololo, reszta z plemienia niewolniczego. Dnia 11 listopada wyruszyła wyprawa rzeką Uzobi z Linyanti do Zambezi, płynąc potem w górę rzeki doszła do miasta Seszeke, a 9 grudnia zdążyła znów do Narzele. Dalsza podróż prowadziła przez kraj Balondaów, pierwszych bałwochwalców we właściwym znaczeniu, których spotkał nasz misjonarz. Nigdy oni jeszcze nie widzieli białego, choć już wiedzieli od kupców, że na wybrzeżu morskiem mieszkają biali ludzie. Często rządzą tu plemionami i kobiety. Na propozycyą dwóch takich monarchiń zdecydował się Livingstone odwiedzić ich krewnego, potężnego naczelnika Szinti. Opuścił więc rzekę Libę, dopływ górnej Zambezi, i skierował się ku stolicy owego naczelnika. Miasto leży na niewielkiem wzgórzu, pośród malowniczej doliny; szczyci się regularnymi ulicami, złożonemi z czworokątnych domków; każdy domek ozdabiają podwórka lub małe ogródki, opatrzone pię-

knemi płotkami, ocienione drzewami figowemi i trzcina cukrową. Nazajutrz po przybyciu zaprowadzono Livingstone'a do naczelnika Szintego na audyencyą; monarcha siedział pod drzewem na stołku, okrytym skórą lamparcią; za nim w postawie ku ziemi schyłonej znajdowało się aż sto kobiet, dalej widać było lud i wojsko. Po dłuższej mowie męża Manonki (Manonko nazywała się najmłodsza z rządczyn) i innych, którzy opowiadali co słyszeli o naszym podróżniku, wstał Szinti, słuchający dotąd wszystkich mów w milczeniu, i ogłosił posłuchanie za skończone. Później często rozmawiał Livingstone ze Szintim. Ten ostatni klaszkauiem rąk zwykle mu przyświadczał, kiedy podróżnik opowiadał; wogóle okazywał się ludzkim i uprzejmym. Na dalszą podróż dodał Livingstone'owi jednego głównego przewodnika i ośmiu nosicieli, aby go do morza odprowadzili. Przeprawiwszy się przez rz. Libę w kierunku północno-zachodnim, szli obszernemi łąkami, które wówczas były zalane w skutek wielkich deszczów, około jeziora Dilola i dalej na zachód przez terytoryum Cziboków. Naczelnik ich chciał gwałtem wymódc na Livingstonie albo którego człowieka za niewolnika, albo dar jaki z broni lub dobytku. Za pomocą wojowników Makololo udało się podróżnikowi naszemu zmiękczyć naczelnika, tak iż poprzestał na jednym wole. W czasie dalszej podróży ludność wiejska nie stawiała przeszkód; mieszkańcy przypatrywali się z podziwem nietyle białemu człowiekowi ile wołom, gdyż w całej téj krainie, zwanéj Londa, brakuje zwierząt, a ludność żywi się wyłącznie roślinami.

nami. W końcu dosięgnął Livingstone osady portugalskiej Kasandze, najdalej na wschód położonej ($9^{\circ} 37'$ szer. połud. i $17^{\circ} 49'$ dług. wsch. podług południka Greenwich), przebywszy wprzód rzekę Quango. Osada leży na wyniosłości i składa się z 30—40 domów kupieckich, ozdobionych ładnymi ogrodami. Podróżnika przyjęli mieszkańcy tamtejsi serdecznie, zaopatrzyli w nową odzież i przez cały tydzień z drużyną jego podejmowali. Pod przewodnictwem murzyna dziesiętnika i z listami polecającymi do kupców w Loandzie, szedł dalej na zachód przez kraj coraz piękniejszy i 31 kwietnia 1854 przybył do miasta Loandy. Schorzały, wycieńczony, znalazł pierwszy przytułek w łóżku u swego rodaka, uprzejmego agenta Gabriela; pomimo troskliwej pieczy i spokoju, jakich doznawał, cierpiał kilka tygodni na straszną febrę. Jakkolwiek oficerowie marynarki z okrętów, które przybiły do lądu w Loandzie, zobowiązali się przewieźć Livingstone'a do Anglii; on jednak odrzucił ich propozycje, uważając swe zadanie za spełnione dopiero w połowie. Nie znalazłszy też dróg z wnętrza Afryki, dogodnych dla komunikacji wozowej, ani wogóle porządnych dróg handlowych, prowadzących ku wybrzeżu zachodniemu, postanowił wrócić do Linyanti i stamtąd ruszyć w kierunku wschodnim ku brzegowi wschodniemu; nie chciał też opuścić swęj gromadki, która zносиła z nim wiernie trudy i niewygody. W końcu więc września wyruszyła nasza wyprawa z powrotem, po większej części tą samą drogą, zbaczając wszakże dość często, aby Livingstone mógł

poznać sąsiednie kraje; gdy przybyli do Linyanti, lud wszystek powitał ich z radością, a zwłaszcza naczelnik, wielce ucieszony z darów, które mu przysłali Portugalczycy. Po dłuższych przygotowaniach udał się Livingstone (3 listop. 1855 r.) z liczną drużyną w podróż ku wschodowi. Droga szła brzegiem rz. Zambezi. W miejscu, gdzie rzeka ta dosięga w swym biegu punktu, najdalej na południu leżącego, podróżnik nasz spostrzegł potężny wodospad, zwany przez krajowców Szongwel, przez niego zaś wodospadem Wiktoryi nazwany. Już zdaleka widać parę wznoszącą się słupami; zbliżywszy się spostrzegamy pięć słupów, u dołu białych, u góry ciemnych. Na wyspach i brzegach bujna roślinność; potężny baobab obok palm powiewnych, srebrny „mohonono“ podobny do cedru libańskiego i drzewa, przypominające nasze dęby i wiązy, ozdabiają kraję. Livingstone pierwszy z Europejczyków przedarł się do tego kraju; wodospad obserwował z wyspy, leżącej na krańcu przepaści, do której toczy się woda. Przepaść tę tworzy olbrzymia rozpadlina w twardym bazalcie, która się ciągnie od brzegu prawego do lewego i dalej jeszcze w głąb kraju na 60 kilometrów. Do niej wpadają wody rzeki, która przed wodospadem ma do 900 metrów szerokości, z wysokości 30 metrów, włożysko tylko 20 metrów szerokie; w skutek wielkiego spadku i siły uderzenia, strzela w górę olbrzymim słupem na 100 metrów wysokim i spada na ziemię w postaci gęstego dęszczy. Piękne to zjawisko zyskało jeszcze więcej na krasie, w czasie pobytu tam Livingstone'a, przez

to, że dwie tęcze zdobyły widok. Droga prowadziła dalej przez żyzny kraj Batoków. Krajowcy tamtejsi oddają się namiętnie paleniu konopi, który to nałóg zgubne pociąga następstwa. Kraj jest pagórkowaty i obfity w piękne widoki. Przebywszy rzekę Kafui, wpadającą do Zambezi, zbliżył się Livingstone znów do tej ostatniej i postępował dalej jej brzegiem; ale częste opłaty, których wymagali oddzielni naczelnicy, zmusiły go oddalić się od rzeki; omijał więc wioski i krążąc manowcami dotarł nareszcie do Tete, osady portugalskiej, 3 marca. Gościnnie przyjęty przez gubernatora, zabawił tam przez miesiąc, poczem na łódkach udał się do Quilimane, miasta niedaleko od ujścia Zambezi do morza. Pokrzepiwszy swe siły na wyspie S. Maurycego, wyprawił się do Anglii i przybył tam w grudniu r. 1856.

W tym samym czasie kiedy Livingstone próbował przebyć przez północną część Afryki południowej aż do wybrzeża morskiego, szwedzki naturalista K. J. Anderson postępował odwrotną drogą, od morza do wnętrza Afryki południowej. Wyruszywszy w r. 1850 w podróż z wybrzeża zachodniego koło zatoki Wielorybiej, przez ziemię Namaqua dotarł do wyschłego jeziora Omanbende, stamtąd zaś, dowiedziawszy się o plemienu Ovampo, które, jak mówiono, daleko na północy mieszka, udał się w kierunku północnym. Droga prowadziła naszego podróżnika przez terytorium Damarów, plemienia odznaczającego się rośliną i silną postawą, a dość spokojnego. Ciało nacierają tłustością i olejem, okrywają zaś w części skórą i niezli-

czoną ilością rzemieni, koło pasa okręconych. Główną ich bronią jest włócznia, zwana „kirie“, którą nader zręcznie władają. Przyłączywszy się do karawany kupieckiej, która z ziemi Ovampo do Damarów była przysłała, a wtedy właśnie do domu wracała, podróżnik nasz, po ośmiodniowej podróży, po większej części przez kraje puste, dosięgnął pierwszych pastwisk w ziemi Ovampo. Stosownie do zwyczaju miejscowego, nowemu przybyszowi nasmarowano twarz olejem, a wyprawieni posłowie oznajmili królowi Nangara przybycie cudzoziemca. Po dłuższej podróży przez bagna solankowe i okolice stepowe doszła nareszcie karawana do urodzajnych prowincyj właściwej ziemi Ovampo. Wiosek tu niema, każda rodzina mieszka w osobnym dworku, zbudowanym pośród pola. Kiedy nazajutrz po przybyciu udali się do miejscowości, gdzie miał swą rezydencją naczelnik, nie przyjęto ich odrazu; dopiero trzeciego dnia udzielono audyencyą. Na przemowę cudzoziemców, król nieco tylko przez nos zagadał. O broni palnej nie miał pojęcia, a dowiedziawszy się o jej użytku, żądał od cudzoziemców, aby dla niego słońce strzelali; wędrowcy jednak odmówili, obawiając się, aby ich nie zatrzymał u siebie, dopóki mu nie wytępią wszystkich słońi. Pomimo to król ich podejmował i wyprawiał dla nich uczy. Gdy jednakże podróżnicy nasi chcieli się udać dalej na północ, dowiedziawszy się o pięknej rzece, która tam miała płynąć, naczelnik zabronił im tego za to, że nie chcieli dla niego polować na słońce. Wróciła więc wyprawa nasza znowu do kraju Dama-

rów. Anderson postanowił teraz iść na wschód i rzeczywiście dotarł aż do miejscowości Tunobis, położonej na południo-zachód od jeziora Ngami; zamiaru ażeby posunąć się dalej musiał się zrzec z powodu braku wody i powrócił na wybrzeże. Dopiero w następnym roku wyruszywszy w drogę, doszedł do Tunobis i stamtąd, krążąc w około, po wielu trudach i przygodach, do jeziora Ngami.

Przed upływem jeszcze tego dziesiątka lat, w którym odbył pierwszą wielką podróż po Afryce południowej, wyruszył znów Livingstone na nową wyprawę, chcąc zbadać porzecze rz. Zambezi. Wylądowawszy w kwietniu r. 1858 na wybrzeżu wschodniem puścił się parostatkem, który był z sobą z Anglii sprowadził, po rzece Zambezi i dotarł do miejscowości Tete. Tutaj spotkał się ze starymi znajomymi z plemienia Makololo, którzy wielką radość z jego przybycia okazywali. Płynąc dalej, napotkał (9 listopada) wir zwany „kebra-basa“, gdzie pasmo stożkowatych pagórków przecina łożysko rzeki i tworzy wąską a głęboką przepaść, pełną głazów syenitowych i granitowych. Przy wysokim stanie wody przepaść bywa zalana, a zwierciadło wody zdaje się zupełnie gładkiem korytem. Nie mogąc jechać dalej statkiem parowym, zażądał Livingstone od władz angielskich, aby mu przysłały inny wygodniejszy parostatek; nim zaś takowy miał nadejść, chciał zbadać bieg rzeki Sziry, która płynie z północy i niedaleko od delty Zambezi wpada do téj ostatniej. Żeglując po Szirze, napotkał pod 15° 55' szer. połudn. prześliczny wodospad

dał mu nazwę „wodospadu Murchisona“, od imienia sławnego geologa angielskiego; krajowcy zowią go „Mamwira“. Powyżej tego wodospadu znajduje się cały szereg innych, jeszcze bardziej spadzistych od tamtego. Stamtąd wrócił Livingstone do Tete i dopiero w marcu r. 1859 udał się na poszukiwanie jeziora „Szirwu“; dotarł do niego d. 18 kwietnia tegoż roku. O tém jeziorze dowiedział się, że z północy oddziela je pewna przestrzeń od innego wielkiego jeziora; mowa tu była o jez. Nyassa. Livingstone dotarł do niego, pierwszy z europejczyków, dnia 16 września 1859 r. Na drodze do niego musiał przebywać górzystą krainę, zamieszkaną przez plemię Mangandya. Lud tego plemienia odznacza się piękną powierzchownością, jeżeli umyślnie nie szpeci sobie oblicza i ciała, tak sądzi o nich dobrze powiadomiony misjonarz Rowley; podług Livingstonea zaś uchodzić maza prawdziwy typ murzyński. Nie mają nosa zadartego, to też mniemanie powszechne każe ich zaliczyć do kafrow. Co ich szpeci, to obrzydliwy układ ust. W ogóle są dobrego wzrostu i pięknej postawy. Zdziwiająco rozwinięte mają mięśnie i dla tego wyglądają na bardzo silnych, chociaż w istocie takimi nie są; wpływa na to pokarm roślinny. Mężczyźni nadzwyczaj starannie pielęgnują swe włosy: jedni tak je długo skręcają, że włosy zwijają się nakształt rogów; drudzy znów je wiążą w gruby warkocz, który niby ogon wisi im z tyłu; jedni wcale włosów nie czeszą i pozwalają im swobodnie spływać po ramionach; inni zaś albo się strzygą całkowicie albo wystrzygują sobiena

głowie rozmaite figury. Położenie kobiet jest dość dobre, gdyż uprawą ziemi trudnią się sami mężczyźni. Jako ozdobę, noszą kobiety pierścienie mosiężne, miedziane lub żelazne na palcach, szyi, ramionach i nogach; najważniejszą ozdobą jest „pelele“, kółko przewleczone przez górną wargę. Dziewczętom już przebijają górną wargę mocną igłą, a wkładając na jej miejsce stopniowo coraz grubsza, rozszerzają otwór tak, iż może nakoniec objąć grube kółko. Wszystkie kobiety noszą tę ozdobę, rozstając się z nią tylko na znak smutku. Szczególnie wstrętnym jest widok śmiejącej się kobiety: nos wygląda wtedy z kółka do góry podniesionego, a z ogromnych ust, podobnych do paszczęki kociej, pokazują się przypilowane zęby. Gdy się Livingstone jednego z naczelników o ten zwyczaj wypytywał, otrzymał odpowiedź, że „pelele“ wynagradza kobiecie brak wąsów. Prócz tego specją się kobiety szramami, które sobie na różnych częściach ciała robią. Każdy z Mangandyów ma osobne nazwisko od miejsca zamieszkania. Trudnią się przeważnie wyrabianiem rzeczy z żelaza, przedzeniem bawełny, wyplataniem koszów i uprawą roli. Piwo namiętnie piją; ponieważ nie mają chmielu, ani innych ingrediencyj, żeby dłużej przechowywać piwo, zmuszeni są prędko spożywać zapasy tego napoju; czynią też to znakomicie. Wynikają stąd wielkie nieporządki. Handel niewolnikami u nich kwitnie; naczelnicy sprzedają w niewolę ludzi z najniższych i zepsutych klas, albowiem jest to jedyny środek do nabycia cudzego majątku.

Livingstone przybył potem do tego miejsca nad jeziorem, gdzie rzeka Szire z niego wypływa ($14^{\circ} 25'$ szer. połud. i $35^{\circ} 30'$ dług. wsch. Gr.); tam spotkał się z pewnym naczelnikiem, imieniem Mosanka, który go uprzejmie do siebie zaprosił, ugościł i opowiadał o wielkiej karawanie niewolników, przechodzącej przez te okolice pod przewodnictwem kupców arabskich. Wistocie zgłosiło się wkrótce potem do naszego podróżnika kilku uzbrojonych arabów, proponując mu nabycie kilkorga dzieci; jednakże coprędzej go opuścili dowiedziawszy się, że Livingstone i jego towarzysze są Anglikami. Po krótkim tam pobycie Livingstone wrócił znów do miasta Tete. Z wszelką słusnością uchodzi on za pierwszego europejczyka, który rozpoczął naukowe badanie jeziora Nyassa, jakkolwiek geografowie portugalscy dowodzą, że statki portugalczyków już w wieku XVII pływały po tem jeziorze.

W miesiąc po Livingstonie, podróżnik niemiecki Albert Roscher, rodem z Hamburga, dotarł również do tego jeziora, mianowicie do jego wybrzeża wschodniego. Wyszedł on z Quiloa na brzegu wschodnim Afryki (9° szer. połud.) i przyłączywszy się do wielkiej karawany pewnego Araba dostał się po wielu trudnościach do jeziora; odbył liczne podróże wzdłuż brzegu wschodniego i w jednej z nich przez chciwych krajowców został zamordowany (19 marca 1860). Powróciwszy do Tete, przygotował Livingstone nową wyprawę rzeką Zambezi do kraju plemienia Makololo, strawił na nią sześć miesięcy i w końcu listopada po-

dażył znów do Tete. Rok następny poświęcił prze-
ważnie badaniu jeziora Nyassy. Burze, które wów-
czas srożyły się na jeziorze, przeszkodziły Livingsto-
neowi zbliżyć się do brzegów wschodnich, a tumany
mgły nie pozwalały lepiej poznać samego jeziora.
Zdaje się, iż je otaczają ze wszystkich stron wynio-
słości; jak zaś przekonała o tém samego badacza że-
gluga wzdłuż brzegu zachodniego, są owe wyniosłości
na zachodzie stokami jednej wielkiej wyżyny, obfitu-
jącej w lasy. Brzegi są gęsto zaludnione, wioski cią-
gną się w niewielkiej odległości jedna za drugą, zwła-
szcza na wybrzeżu południowém. Wybiegali z nich
gromadami mieszkańcy, podziwiając statek z żaglami
lub przypatrując się z ciekawością, jak jedzą biali.
Wszędzie jednak trzymali się przed linią, którą nasi
podróżnicy zakresłali na piasku, a tylko dwa razy
ośmielili się poruszyć żagiel, z którego namiot był
zrobiony, aby się przypatrzeć wewnątrz. Podróżni-
ków nazywali stale „czirombo“ tj. „dziki zwierz“, nie
przypuszczając, aby ci rozumieli ów niepoehlebny ty-
tuł. Ziemia na brzegach jest dość uprawna; miesz-
kańcy uprawiają obficie ryż, kukurydzę, proso. Dla
mieszkańców brzegów północnych szczególnym przy-
smakiem, oprócz zgniłych ryb, są kołacze przyrządzo-
ne z komarów, grube na 3 centymetry a jak talerz
wielkie. Nad jeziorem mianowicie unoszą się gęste
chmury much, zwanych „kungo“, napełniając powietrze
do znacznej wysokości i nad wodą latając; w nocy mie-
szkańcy łowią je masami i pieką z nich kołacze, подо-
bne w smaku do kawioru lub palonej szarańczy. Ryb.

wybornych ma jezioro pod dostatkiem; szczególnie smakowała naszym podróżnikom „mpasa“, gatunek karpia. Lud tamtejszy jest brzydki, zwłaszcza kobiety, które się szpecą jeszcze bardziej, nosząc „pelele“. Za najpiękniejszą ozdobę domu uważają misę cynową; również wysoką cenę mają naczynia z białego krzemienia lub z gliny czerwonej. Wszyscy krajowcy tatuują się obficie od stóp do głowy, w desenie właściwe każdemu plemieniu. Szczególniejszą pieczę roztaczają nad grobami; sypią je na brzegu w kierunku północno-południowym, ocieniają drzewami figowymi i oddzielają starannie drózkami. Grób męczyzny można odróżnić od grobu kobiety przez różne narzędzia, które popsute leżą na grobach; tak na przykład kawałek sieci i złamane wiosło oznacza grób rybaka; drewniany móździerz, stłuczone garnki i kosze, grób kobiety,

Pobywszy czas dłuższy nad jeziorem, powrócił Livingstone na początku listopada r. 1861 do Szupangi przy ujściu rzeki Zambezi, gdzie zajął się składowaniem trzeciego statku, który mu z Anglii przysłano. Pierwotnie zamierzał żeglować po rz. Szira i zbadać północny brzeg Nyassy, dotąd nieznaną; wszelako, z powodu niskiego stanu wody w rzece, musiał się zrzec powziętego zamiaru. Postanowił tedy dopłynąć morzem do przylądka Delgado i rzeką Rufuma, która na północ od niego wpada do morza, próbować się dostać do wnętrza lądu. Żeglując po tej rzece, dostał się jednak prędko na mielizny, tak że musiał opuścić parowiec i starał się dalej posuwać na zwy-

czajnych łodziach. Zapuszcivszy się 250 kilom. wgłąb lasu, przekonał się, że dalej płynąć niepodobna, musiał więc znów powrócić. Postanowił wtedy rz. Szirą dostać się do jez. Nyassy. Zastał tam wielką zmianę: kraj po obu stronach rzeki był spustoszony, wioski popalone, ziemia ogołocona z ludzi. Klęskę tę sprowadził na kraj polujący na niewolników niejaki Mariano. Dotarwszy do jeziora, zwiedził Livingstone kraje zachodnie; wrócił zaś poczęści dla téj przyczyny, że jego spółtowarzysze podróży, nieprzyzwyczajeni do ostrych wiatrów panujących na wyżynie, coraz więcej zapadali na zdrowiu, a niektórzy nawet poumierali; poczęści znów dla braku żywności. Prócz tego, na rozkaz ministryum spraw zagranicznych, miał statek Livingstona co prędzej na morze wypłynąć. Przystąpił więc do powrotu, a płynąc rzeką Szirą i Zambezi dostał się do ujścia téj ostatniej 13 lutego r. 1862. Dnia 30 kwietnia tegoż roku opuścił ląd Afrykański, wsiadłszy na okręt w Zanzibarze, dokąd przyprowadził oba parostatki, i udał się po sześćioletnich podróżach z powrotem do Anglii. Podróże Livingstona miały na celu zbadanie północnej części Afryki południowej; równocześnie prawie Mauch Karol, rodem z Wirtembergii, badał część południowo-wschodnią. W latach 1865—66 zwiedził on dokładnie rzeczpospolitą Transwaalską i wydał jęj mapę. Kraina ta co do obszaru przewyższa nieco królestwo pruskie, leży nad rzeką Waal i liczy do 250000 mieszkańców pochodzenia holenderskiego; w ostatnich czasach sąsiedni Anglicy wcieliłi ją do swego

państwa. Podróżnik nasz przekonał się, iż ziemia jest wcale żyzna; w miejscowościach niżej położonych można korzystnie uprawiać trzcinę cukrową, kawę, bawełnę i tytoń, w miejscowościach zaś wyżej wzniesionych hodować zwierzęta, zwłaszcza owce. Że pomimo to kraj nie cieszy się większym rozwojem, winni są temu w części rolnicy tamtejsi, bardzo leniwi, w części zaś brak sił roboczych. Zwierząt jest tu wielka obfitość, jak również owoców w każdej porze roku; znajdują także różne metale, szczególnie złoto. To ostatnie niedawno dopiero odkryto w części północnej bliżej Lydeburga; nasz zaś podróżnik w czasie drugiej podróży do krajów na południe od dolnego biegu rzeki Zambezi leżących, znalazł w państwie Mosili Kaciho, nad górnym brzegiem rzeki Umfuli, pokłady złotodajne, które jednakże nie okazały się bardzo wydajnymi i omyliły nadzieje górników, co się na wieść o odkryciu z wielu okolic byli zbiegli. W trzeciej podróży swej (od maja 1868 aż do stycznia 1869 trwającej) szedł Mauch przez Lydenburg, przebył rzekę Limpopo, która łukiem opływa z północy Rzeczypospolitą a wpada do oceanu na północ od zatoki Delagoa, i zwiedził prowincję plemienia Matebele, ciągnące się od wspomnianej rzeki aż do środkowego biegu Zambezi.

Te same kraje zwiedził w roku następnym (1870) inny podróżnik niemiecki Ed. Mohr, rodem z Bremy. Od północy w Rzeczypospolitej Transwalskiej puścił się na północ ku wodospadowi Wiktoryi i po drodze zwiedził miasto Szoszong, leżące nieco na północ

od Kolobengu, znanego nam z podróży Livingstona. Szosong jest to jedno z najludniejszych miast w Afryce południowej, a trudni się handlem piórami strusimi. Ponieważ leży ono około 1000 metrów nad poziomem morza, a więc ma klimat dość zimny; mieszkańcy zatem okrywają się przynajmniej na noc futrami. Idąc dalej ku rzece Szasza, wpadającej do Limpopo, napotkał okolicę jednostajną. Doszedłszy do ziemi Matebele, udał się drogą, prowadzącą na rozgraniczu wód, spływających z jednej strony w kierunku północno-zachodnim do rz. Zambezi, z drugiej strony na południo-wschód do Limpopo; tu zaczynała się ziemia urodzajniejsza. Dalej kraj jest lesisty i przechodzi jakby w morze głazów granitowych, które, jak okiem zasięgnąć, pokrywają ziemię. Dnia 30 marca dotarł nasz podróżnik do gęstych osad plemienia Makalaka, trudniącego się głównie uprawą ryżu i prosa „durra“; prócz tego hodują tam z zamięłowaniem melony, tytoń i konopie. Bardzo zręcznie wyrabiają z żelaza broń „assagai“ i motyki, któremi kobiety uprawiają rolę. Dążąc dalej przez kraj na północ od powyższego leżący, musiał Mohr pod 19° szer. połud. zostawić wszystkie zwierzęta z powodu prześladowania muchy „cece“ i potem z 26 murzynami szedł dalej przez kraj pagórkowaty, bujną trawą porosły. W ogóle okolice były coraz górzystsze i bardziej malownicze. Przebywszy rzeki „Guaa“ i „Dak“, dotarł Mohr 12 czerwca r. 1870 do brzegów Zambezi w pobliżu wioski Vanki. Do wodospadu Wiktoryi przybył 19 czerwca; a zwiedziwszy go i sprawdziwszy

wszystko, co o nim napisał Livingstone, zwrócił się w kierunku wybrzeża d. 8 lipca i na początku grudnia stanął w D'Urban, mieście portowém w Natalu. W następnym roku puścił się Mauch rzeką Walem ku polom dyamentowym. W podróży téj znalazł koło Zimbae (pod 20 szer. połud. i 32 dług. wsch.) godne podziwu zwaliska, których pochodzenie przypisuje jakimś narodowi ucywilizowanemu, kiedyś tam przebywającemu.

Rzeczpospolitę Transwalską jak również sąsiednią rzeczpospolitę rzeki Pomarańczowej zbadał jeszcze w latach 1864—66 podróżnik niemiecki dr. G. Fritsche, przeważnie poświęcający się etnografii ludów południowo-afrykańskich. Do nich należą Kafrowie i Hotentoci. Nazwa pierwszych pochodzi od słowa arabskiego „kafir“ niewierny. Kafrowie mają skórę ciemną, włos wełnisty, różnej długości i własności. Kolor skóry jest również bardzo rozmaity, od ciemnosępiowego do granatowo-czarnego. Ciało mają dobrze zbudowane, czaszkę długą, wysoką. Dzielą się na 3 grupy: wschodnią, do której należy plemię Zulu i Ksosao (właściwi Kafrowie), środkową (Beczuanie) i zachodnią tj. Damara. Ksosaowie są, według G. Fritschego, ludźmi charakteru wesołego, uprzejmi, gościnni i usłużni; dbają tylko o dziś, nie troszcząc się o jutro. Jeżeli się zejdą razem, bawią się nawzajem opowiadaniem, a dzban z piwem krąży przytém wokoło. Rozdrażnieni łatwo się roznamiętniają i w gniewie dopuszczają się najwstrętniejszych czynów; zapominają jednak prędko obrazy i nie są mściwi.

Pojęcia religijne bardzo mają słabo rozwinięte; ograniczają się w tym względzie niejasnym przecuciem życia pozagrobowego, gdzie dusze zmarłych przodków wspaniałe uczty pożywają. Przedmiotem szczególnych starań są dla nich stada, które nawet w pieśniach opiewają.

Hotentoci mają kolor skóry żółto-brunatny, włos kędzierzawy, czoło wąskie, brodę śpiczastą; są wzrostu średniego, ręce i nogi mają stosunkowo krótkie. Kobięty odznaczają się otyłością. Dzielią się na trzy gromady: właściwych Hotentotów w ziemi Przylądkowej, Koranów nad górnym biegiem rzeki Pomarańczowej i Namakuów od rz. Pomarańczowej aż do zatoki Wielorybiej. Przy całym swem lenistwie są żywsi i ruchliwsi od Kafrów. Wielka lekkomyślność, obzarstwo i zmysłowość przyczyniają się do ich upadku.

Niez mordowany po krótkim wypoczynku wyruszył Livingstone z Anglii do Afryki na trzecią wielką wyprawę. Na ten raz postanowił iść brzegiem rzeki Rufumy do jeziora Nyassy, zbadać dział wodny między głównymi rzekami Afryki: Zambezi, Nilem i Kongo, sprawdzić jak daleko sięga ich związek z ogromnymi jeziorami równikowymi, nakoniec rozstrzygnąć niepewność co do źródeł Nilu. W styczniu r. 1866 widzimy naszego podróżnika w Zanzibarze, skąd wyruszył do ujścia Rufumy i dalej do zatoki Minkindany, o 40 kilometrów wyżej na północ; znalazł tam dobrą przystań i punkt oparcia do dalszej podróży w kierunku południowo-zachodnim. Towarzyszy-

ło mu 30 ludzi uzbrojonych, między niemi kilku tragarzy z wysp Komorskich. W drugiej połowie lipca dotarł do jeziora Nyassy i szedł wzdłuż brzegu południowego. Tymczasem opuścili go wzmiankowani tragarze i powróciwszy do Zanzibaru rozgłosili, że Livingstona zamordowali drapieżni Masitowie. Gdy ta smutna wiadomość, której powszechnie wierzone, doszła do Anglii, opinia publiczna, nie tracąc nadziei, że Livingstone może jeszcze żyje, domagała się pewności co do jego skonu. Staraniem towarzystwa geograficznego w Londynie wyprawiono ekspedycją pod dowództwem E. D. Young'a, naczelnika drugiej wyprawy Livingstona. W końcu lipca roku 1866 był Young przy ujściu Zambezi, a rzeką Szirą dostał się aż do wodospadu Murchisona; dalej szedł drogą ladową; 150 najętych tragarzy miało przenieść łódź, rozłożoną na części, oraz inne pakunki koło wiru. Po cztero-dniowej podróży obeszlili wir i statek nanowo złożyli. Pracy tej przyglądało się wielu krajowców z plemienia Ajawów i Mangandyów, Od jednego z nich dowiedział się Young, że w tej okolicy przed niejakim czasem widzieli jakiegoś białego; ani więc przypuszczając otrzymał pierwszą wiadomość o Livingstone. Jakkolwiek żeglując dalej po rzece Szirze znów otrzymał wiadomość, że widziano pewnego białego bliżej jeziora Pamalombe, nie chciał jednakże wierzyć aby nim miał być Livingstone, choć go murzyni „anglesi“ nazywali; wiedział bowiem, iż zamiarem Livingstona było zwiedzić tylko brzeg północny. Wyprawa, przepłynąwszy Pamalombe i tę część Sziry, która łączy

powyższe jezioro z Nyassą, przybiła w d. 7 września do brzegu wschodniego. Był to pierwszy statek europejski przy tym brzegu. Znalazł tu u murzynów nasz podróżnik potwierdzenie poprzednio otrzymanych wiadomości i przyszedł do tego przekonania, że owym białym był rzeczywiście Livingstone, który, odstąpiwszy od swego pierwotnego zamiaru, zapuścił się dalej w te okolice. Potwierdziłi to tragarze, którzy pomagali przy transportowaniu rzeczy Livingstona, potwierdziły dalej opowiadania naczelnika Marengi, i wykryło się w jaki sposób opuszczono naszego podróżnika. Mianowicie, podczas kiedy Livingstone na łodziach przeprowiał się przez jezioro, tragarze mieli iść dalej lądem; tymczasem w dwa dni po wyruszeniu wrócił nagle arab Musa z tagarzami, twierdząc, że będąc Arabem, dotąd tylko towarzyszył podróżnikom, a obecnie znowu ku brzegom powraca. Osiągnąwszy pożądaný rezultat, Young wrócił do ujścia Zambezi, a stamtąd na okręcie wojennym dostał się do Europy. Wkrótce potem doszły wiadomości od samego Livingstona. Dowiedziano się z nich, że, po opuszczeniu go przez Musę, Livingstone przebył Loan-gwę, dostał się do ziemi plemienia Babisa, następnie musiał się przedzierać przez pasmo gór bardzo lesiste, przeprowił się przez rzekę Czambezi, wypływającą z łańcucha Urungu a wpadającą do jeziora Bangweolo, i nareszcie dotarł do rzeczonoego jeziora. Wspomniana rzeka wypływa znów z jeziora w kącie zachodnim pod imieniem „Luapula“ i wpada po krótkim biegu do innego jeziora, dalej na północy leżącego, Moero, skąd

dalej jeszcze na północ płynie jako Lualaba. Według wszelkich wskazówek jest to górny bieg potężnej rzeki Afryki środkowej, Kongo. Zwiędziwszy kraje na północ od jeziora Moero, w których znalazł plemię mieszkające w ziemi, w jaskiniach. przybył Livingstone w grudniu r. 1867 do stolicy naczelnika Muata, Kazembe, władcy wschodniej części potężnego państwa „Lunda“. W kraju tym, który jeszcze w r. 1798 zwiędził był portugalczyk Fr. de Lacerda, a w trzecim lat dziesiątku bieżącego wieku za cel sobie wybrała inna wyprawa portugalska, spędził Livingstone dni czterdzieści. Udał się następnie do jeziora Tanganiki, lecz z powodu wylewu wód musiał wrócić na brzegi jez. Bangweolo i tam w lipcu r. 1868 pisał dziennik swej podróży. W roku następnym dostał się do jeziora Tanganiki, zwiędził jego brzegi i odkrył w dalszym ciągu cały szereg rzek i jezior, które począł czytywał za górny bieg Nilu (1869—71). Tu spotkał się z podróżnikiem H. Stanley'em. Ponieważ przez dłuższy czas nie było w Europie żadnych wiadomości o Livingstone i nowe powstały obawy co do jego losów, towarzystwo geograficzne w Londynie urządziło w r. 1872 ekspedycją, chcąc dostarczyć pewnych wskazówek w tym względzie. Okręt pod dowództwem porucznika L. Dawsona odpłynął z Anglii do Zanzibaru na początku lutego; tymczasem, kiedy już w Bagamoyo gotowano się do wyprawy, przyszła równocześnie wiadomość, że Livingstone się znalazł, że jest zdrow, silny i zaopatrzony w co potrzeba. Sprawcą tego był korespondent dziennika amerykańskiego

„New-York-Herald,” H. Stanley, którego właściciel pisma J. Gordon Bennet wyprawił był w tajemnicy. Stanley wyruszył był 21 marca r. 1871 z Bagamoyo i podążył nasamprzód do miasta Unyamyembe (pod 5° szer. połud. a 33° dłg. wsch. Green.), gdzie spotkał karawanę, która niosła naszemu podróżnikowi zapasy i listy od konsula angielskiego w Zanzibarze dra Kirka, a zatrzymać się musiała z powodu rozruchów. Dopiero w końcu września udał się Stanley w dalszą drogę rzeką Gombe, głównym dopływem rz. Malagarasi, wpadającej do jeziora Tanganiki w pobliżu miasta Udżidzi. Przebywszy po długim krążeniu Malagarasi, dowiedział się od jednej karawany, że w Udżidzi przebywa mąż biały z siwymi wąsami, który już raz był przez czas dłuższy nad jeziorem, a obecnie niedawno powrócił z ziemi Manyuemy, leżącej na północ-zachód od jeziora. Z wielką niecierpliwością pośpieszał teraz Stanley, chcąc się dowiedzieć prawdy, i 10 listopada dotarł już do Udżidzi. Nim wstąpił do miasta, uszykował swą karawanę i z wielką okazałością, wśród huków strzelb, odprawił wjazd do Udżidzi; wśród radosnej wrzawy poznał zaraz po powitaniu angielskim sługę Livingstona, Susi’ego, a pomiędzy tłumem Arabów ujrzał nakoniec owego białego z siwym wąsem, samego Livingstona. Po bliższem poznaniu rozpoczęli obaj podróżnicy badanie brzegu północnego jeziora Tanganiki. Żeglując trzy dni, przybyli do ujścia rzeki Sassi, gdzie znaleźli gęste osady; następnie dotarłszy do kraju Urundi który leży na północ od jeziora żeglowali kilka dni wzdłuż brzegu, aż się dostali do

riasta Magala, gdzie ich bardzo uprzejmie powitano. Potem przebyli jezioro aż do ujścia rz. Rusisi, wpadającej z północy. Powrotu dokonali koło brzegu zachodniego, do którego jeszcze w r. 1858 doszli byli Burton i Speke, niedaleko gromadki wysepek, nazwanych „New-York-Herald.“ Brzeg ten okalają pasma gór wysokich do 1000 metrów; gdzie rzeka wpada do jeziora, tworzy się obszerne ława, pokryta białą roślinnością zwrotnikową. Gromadki pięknych palm ocieniają szare chatki wieśniacze; na białym wybrzeżu w łodziach lub w cieniu drzew spoczywają wygodnie rybacy. Od przylądka Lavumba, gdzie opuścili wybrzeża Uvira, droga prowadziła koło przylądka Pansa; lecz nasi żeglarze wprost przez jezioro popłynęli ku wybrzeżu wschodniemu i niedługo potem przybyli do portu Udżidzi. Wówczas umówili się, że Livingstone odprowadzi Stanleya do m. Unyamyembe, gdzie odbierze pakunki dla niego przystające, i zorganizuje nową wyprawę w głąb Afryki, aby ostatecznie rozwiązać zagadkę co do działu wodnego jej wnętrza. Kilka tygodni spędzili badacze we wzmiankowanej miejscowości; Livingstone użył tego czasu na napisanie listów do swej rodziny i dokończył dziennika, powierzywszy go Stanleyowi. Późem Stanley udał się do Zanzibaru, a stamtąd do Europy. Livingstone skierował się wzdłuż wybrzeża wschodniego i południowego Tanganiki, dążąc do jeziora Bangweolo; lecz w drodze na brzegu południowym zakończył w d. 4 maja r. 1873 życie, uległszy chorobie której się nabawił przez pobyt w kraju bagnistym. Towarzysze jego naradzali się co

zrobić ze zwłokami; po naradzie otworzyli ciało, wyjęli wnętrzności i włożywszy je w puszkę cynową, pochowali pod wielkiem drzewem; same zwłoki włożyli do soli, a po dwunastu dniach wydobywszy wysuszyli na słońcu. Jeden ze sług Livingstona, J. Wainright, stanął na czele gromadki, która, walcząc z głodem, chorobami i dzikością mieszkańców, postanowiła zanieść zwłoki przez ziemię nieprzyjacielską aż do Zanzibaru. W początkach listopada 1873 r. przybyła wyprawa do m. Unyamembe, gdzie właśnie w tym czasie bawił podróżnik angielski Cameron; on też odebrał śmiertelne szczątki Livingstona i przesłał je do Zanzibaru. Tak skończył życie, po trzydziestotrzechletniej działalności, poświęconej badaniu długo w zaniedbaniu będącego lądu Afryki, mąż, któremu równego niema między podróżnikami wszystkich narodów. Imię jego po wsze czasy przyswiecać będzie blaskiem w historii.

Ukończywszy przegląd najważniejszych podróży po Afryce południowej, musimy też wspomnieć o podróżach Czecha, Emila Holuba. Ujrzał on światło dzienne w Holicach dnia 7 października 1847 r.; odbywszy studia gimnazyjalne w Żatcu (Saaz), poświęcił się medycynie w Pradze, zajmując się równocześnie naukami przyrodniczymi i geografiją, które sobie szczególnie upodobał. W r. 1872, otrzymawszy stopień doktora, postanowił puścić się w podróż naukową po Afryce i rzeczywiście wyruszył w końcu maja 1872. Na początku lipca był już w Elisabethporcie w Afryce południowej a za wstawieniem się konsula austriackiego otrzymał od gubernatora Ziemi przyłądkowej

prawo praktyki lekarskiej we wszystkich prowincjach, podległych Anglii. Praktyka ta dostarczyła mu środków materyalnych do podróży, którą przedsięwziął de Dutoispan w rozplitej transwalskiej. Stamtąd odbywał dalsze podróże po Afryce południowej aż do krajów nad środkowym biegiem rz. Zambezi. Zbiory, które w czasie podróży nagromadził, znajdują się po większej części w rękach znakomitego miłośnika geografii Wojc. Naprstka.

Piękny zaiste szereg mężów, którzy swe życie poświęcili poznaniu tej części Afryki. Zawdzięczamy im prawie dokładne zbadanie Afryki pod względem jej warunków przyrodzonych i etnograficznych. Wszakże ze wszystkich imion tu przytoczonych z największą czcią wspominać będą imię podróżnika, który pierwszy przeszedł całą Afrykę południową z północy na południe, z zachodu na wschód, imię D. Livingstona.

III. Afryka środkowa.

Trzy zadania, tyżące się Afryki środkowej, mieli w ostatnich czasach geografowie do rozstrzygnięcia; mianowicie: znaleźć źródła Nilu, zbadać bieg rzeki Kongo i przejść Afrykę środkową ze wschodu na zachód albo naodwrot.

O tych trzech zatem rzeczach pomówić mamy.

A. Źródła Nilu.

Na tę kwestyą zwrócili po raz pierwszy uwagę dwaj misyonarze niemieccy, Rebmann i J. Krapf, gdyż przebywając w Afryce wschodniej między r. 1844—49 słyszeli o ogromnym jeziorze „Ukerewe” które podobno sięga aż do 4° szer. połud. i dało początek Nilowi. Do jeziora się wszakże nie dotarli, bo ich zatrzymało znaczne pasmo gór śniegami pokrytyca. Rebmann mianowicie dotarł w swój podróży do olbrzy-

miej góry Kilimandżaro, najwyższego szczytu afrykańskiego; wznosi się ona niedaleko wybrzeża wschodniego, prawie pod samym równikiem, a jednak, jak to z podziwieniem ujrzał podróżnik, pokryta jest śniegiem, kiedy tymczasem stoki jej zdobi bujna roślinność zwrotnikowa, przerznięta licznymi potokami. Na północ od Kilimandżaro ciągnie się całe pasmo gór śnieżnych, aż za równik; między niemi potężny szczyt Kenia, który zobała spółtowarzysz Rebmanna J. Krapf. Wiadomość o wielkiem jeziorze była podniecią do dalszych poszukiwań, które obiecywały płodne wyniki. I rzeczywiście, już następcom pierwszych dwóch podróżników, oficerom angielskim R. Burton'owi i J. Speke'owi udało się cel osiągnąć. Pierwszy z nich dał się być już poznać z podróży po Arabii (r. 1853) i ziemi Somalów; w r. 1856, będąc wysłanym na wybrzeże mozambickie, aby szukać źródeł Nilotycznych, połączył się ze Speke'iem. W r. 1857 wyszedłszy z miasta Bagamoyo naprzeciwko wyspy Zanzibaru, udali się obaj przez Kidundu i Zungomero brzegiem rz. Kingani. Idąc tak doszli do krainy górzystej Usagar, przekroczyli południowe jej pasmo Kiringavan i dotarli na wyżynie do krainy Ugogo. Mieszkańcy tego kraju, Wagogowie, mieszkają w biednych chatkach wspólnie z owcami, kozami i płastwem domowem. Grunt nieurodzajny z powodu suchości, którą zawdzięcza łańcuchowi, zatrzymującemu wilgotne pasaty południowo-wschodnie, wymaga starannej uprawy, aby wydać co najpilniejsze, najniezbędniejsze. Za to nie-

zwykłą żyznością obdarzona jest falowata wyniosłość Unyamue, podług Burton'a ogród Afryki zwrotnikowej. Przebywszy te kraje, dostali się nasi podróżnicy po ośmiodniowej podróży do jeziora Tanganiki (pod 30° dług. wsch, między 3—9° szer. połud.) w lutym r. 1858. Wielka rozległość jeziora zrodziła w Burton'ie domniemanie, że ma ono zapewne jaki odpływ; utrzymywał też, że szukać takowego należy na północy. Przeciwnie Speke, jak się zdaje przez zazdrość, żeby Burtonowi nie dostała się sława odkrywcy źródeł Nilu, twierdził, że jezioro jest zamknięte i odpływu nie ma żadnego. Takie usposobienie Speke'a okazało się w czasie powrotu; korzystając bowiem z tego, że Burton uległ niemocy w Kase, sam pragnął zyskać sławę odkrywcy i postanowił zbadać jez. Ukerewe, o którym jeszcze w czasie pierwszej podróży im opowiadano, że snadniej daleko można do niego się dostać, niż do jez. Tanganiki. Droga wiodła przez północne prowincye Unyamue, bogate w bydło i bawełnę. W Uumba ziemia już nie tak była urodzajna, kraj przybierał cechy właściwie afrykańskie, szczególnież w Ukwimbie. Postępując wzdłuż biegu rzeki tu płynącej dotarł Speke wbrew oczekiwaniu prędko do upragnionego jeziora (31. lipca 1858). Jezioro to zajmuje przestrzeń 800 mil kw. między 0°45'—2°50' szer. połud. i 31°40'—35° dług. wsch. Gr. — i jak obecnie sprawdzono, jest głównym rezerwoarem rzeki Nilu, który z północy wypływa z jeziora; leży na wyżynie pagórkowatej, na 1250 metr. nad poziomem oceanu; a jeżeli spojrzeć na jego dość gładkie zwierciadło, podobne jest do prądu wiel-

kiego, rozlanego po szerokiej równinie. Brzegi są gęsto zaludnione, z prawdziwie zwrotnikową fauną i florą; na jeziorze znajdują się liczne wyspy, jak Usuguru, Ujuma, w pobliżu której Nil wypływa, Sasse, największa na północy, dalej na południe Ukara, Ukerewe i Bumbirereb. Wzdłuż brzegu zachodniego ciągnie się potężne pasmo gór z najwyższym szczytem Gambaragarą (4500 metr. wysokości); na południowschodzie nad brzegiem wznosi się znów góra Madzita na 2000 metrów. Z południa wpada do jeziora rzeka Szimiju, ze wschodu rz. Ruana i Gori, z północowschodu Jagama, z północo-zachodu Katongo, z zachodu Kagera. W podróży téj nie dotarł Speke nawet do wyspy Ukerewe, gdyż nie miał w pogotowiu łodzi, a prócz tego przeszkodziły mu właśnie tamtejszych plemion. Udał się więc w drogę z powrotem 6 sierpnia i ku końcowi tego miesiąca dostał się szczęśliwie do Kase. Kiedy odkrycie Speke'a doznało potem zaprzeczenia, głównie ze strony byłego spółtowarzysza jego, Burton'a, Speke przyjął z radością propozycją, uczynioną mu przez prezesa towarzystwa geograficznego londyńskiego, Murchison'a, aby się znów udał do Afryki i sprawdził dokładnie, czy Ukerewe należy do systemu Nilu. Dnia 27 kwietnia 1860 opuścił, w towarzystwie kapitana J. A. Grant'a, Anglię i w połowie sierpnia tegoż roku przybił do brzegu zanzibarskiego. Ostatnie miesiące tego roku zeszyli im w części na podróży do Kase, dokąd karawana przybyła 24 stycznia 1861. Tu napotkali wielkie trudności: Arabowie zamieszkali w Kase doznali po-

rażki w walkach z Wagogami i Wahumbami; nikt więc z pomiędzy nich nie chciał się odważyć poprowadzić dalej karawany. Dwa miesiące strawili nasi podróżnicy na próżném oczekiwaniu, aż nareszcie postanowili z resztą drużyny udać się do Unyamyembe drogą na zachód od téj, którą szedł był kiedyś Speke z Burtonem. Tak doszli do Miningi, skąd dopiero po dłuższej zwłoce, gdy chory Grant przyszedł do zdrowia, najawszy z wielką trudnością nowych tragarzy, wyruszyli w kierunku północnym. Droga prowadziła przez kraj lesisty, w dolinach gęsto zaludniony, brzegiem rzeki Ukuni. Kiedy Grant w Phunse powtórnie zapadł na zdrowiu, Speke wkroczył do kraju Usiny, zostającego pod władzą wielu naczelników; prawo przejścia opłacić musiał licznemi podarunkami. Niezadługo potem Grant wyzdrowiał; lecz w kraju Usui zatrzymał obu podróżników naczelnik Suwarora i wypuścił ich dopiero, otrzymawszy znaczny okup. Tém miłsze było dla nich uprzejme przyjęcie, jakiego doznali od króla Rumaniki, władcy państwa Karagwe, położonego na zachód od jez. Ukerewe. Tam oczekiwali na poselstwo, które im zjednać miało wstęp do państwa Ugandy, leżącego na północo-zachód od Ukerewe, a zostającego pod despotycznemi rządami Mtesy. Nareszcie w początkach stycznia 1862 poseł królewski oznajmił podróżnikom, że władca oczekuje ich w swej stolicy. Na ten raz wypadło także Speke'owi iść samemu. Przeprawiwszy się przez rz. Kagerę, która ma 80 kroków szerokości i wije się bardzo głębokiem łożyskiem, szedł okolicą pagórkowatą z bujnemi pa-

stwiskami, dostał się do szerokiej doliny Katongi, a w 10 dni później, 18 lutego 1862, dotarł do stolicy króla Mtesy w prowincyi Bandawarogo. Państwo Uganda jest to kraj pagórkowaty, porośły gęstemi lasami bananowemi, obfitujący w kawę, która tu dziko rośnie, w wyborny tytoń, kukurydzę, trzcinę cukrową i doskonałe banany. Doliny pełne są bagien, po których wążają się stada słońi i bawołów; z powodu wyziewów febra jest tam stałym gościem, bardzo niebezpiecznym zwłaszcza dla europejczyków. Ludność spokojna i zabobonna ze strachem ulega swemu królowi, który będąc władcą nieograniczonym postępuje zupełnie samowolnie z życiem swych poddanych. Rezydencya jego leży na pagórku, którego cały obszar zajmują ogromne budynki. Tutaj przyjął król naszego podróżnika na uroczystej audyencji. Speke umiał zręcznem postępowaniem zjednać sobie jego szacunek. Już miał być przypuszczony przed oblicze królewskie, gdy pierwszeństwo dano jakiemuś posłowi, przynoszącemu daninę; prócz tego musiał Speke czekać na upale; powrócił więc zaraz do siebie, a kiedy go wezwał umyślny poseł, przybył dopiero wtedy, gdy się napił kawy i fajkę wypalił. Zaprowadzono go przed króla, który siedział na koszu, wypchanym słomą i przykrytym czerwoną oponą; miał na sobie pełno łańcuchów i pierścieni, włosy zaś uczesane nakształt grzebienia; z boku leżał biały pies, stała włócznia i tarcza. Ponieważ Speke nie znał tamtejszego języka, a żaden z tłumaczy nie śmiał się odezwać bez rozkazu króla; powitanie więc odbyło się bez mowy. Po godzinie kazał

król zapytał się podróżnika, czy widział króla, poczem skokiem lwa się oddalił. Ze wszystkich podarunków najlepiej mu się podobała broń palna; widząc, że kula przeszła 16 tarcz za sobą ustawionych, zawołał: „Cóż pomogą wszelkie włócznie i wszelkie łuki? Niech wszystkie moje oręża będą odtąd palnemi.“ Z podziwem przypatrywał się jak Speke strzelał do krów i ptaków, i stał się odtąd namiętym myśliwym, bez względu na to, że strzelając nieuważnie i ludzi zabijał. W końcu maja przybył nareszcie i Grant do stolicy Mtesy, a na początku lipca udali się obaj w podróż, chcąc zbadać Nil Biały; musieli się wszakże znowu rozłączyć. Grant, trapiiony długotrwałą chorobą, miał się udać do Unyoro, królestwa położonego dalej na północ, a Speke zamierzał dostać się tam Nilem. Już 21 lipca stanął Speke sam na brzegu Nilu, który tam przepływał okolicę malowniczą, z bujną roślinnością, a miał w tem miejscu do 700 kroków szerokości. Idąc przeciw prądowi dostał się po kilku dniach do „kamieni,“ jak nazywają krajowcy wodospad, którym rzeka z jeziora odpływa; Speke nazwał go wodospadem Ripon'a. Życzył on sobie dokładniej zbadać okolicę, lecz nie pozwolił na to urzędnik królewski, który go odprowadzał; tym sposobem nie mogło dojść do skutku stanowcze rozstrzygnięcie kwestyi Nilowej, gdyż nie była wyłączona możliwość, że Speke się mylił. Przewyciężywszy rozmaite przeszkody, tyczy się to szczególnie Grant, udali się podróżnicy, spotkawszy się znowu, do Unyoro. Lecz i teraz znosić musieli wiele przykrości ze strony władzcy Wanyo-

rów: to im się kazał w drodze zatrzymywać, to znów puszczał, tak że dopiero po dwóch miesiącach, przebywszy zaledwie 150 kilom., stanęli w stolicy Karamsi'ego, zbudowanej na prawym brzegu rz. Kafu, dopływu Nilu. Tutaj na powitanie cudzoziemców kazano wystawić osobną chatę i w niej „król wszystkich królów“ przyjmował cudzoziemców, siedząc na stołku, okrytym skórą lamparcią, pod rodzajem baldachimu ze skóry krowiej, który się zwieszał z dachu. Mniej potężny od Mtesy, wyglądał na łagodniejszego władzcę swego narodu. Dopiero po upływie tygodnia pozwolił król ruszyć dalej cudzoziemcom. Dopłynąwszy rzeką Kafu aż do jej ujścia, ujrzeli znów nasi podróżnicy Nil, wzdłuż którego szli dalej aż do wodospadu Karumy, gdzie potężna rzeka z trzymetrowej wysokości rzuca się stromym spadkiem w zagłębienie ziemi. Przebywszy znów rzekę, udali się do ziemi Kidi; leży ona na prawym brzegu Nilu, obfituje w lasy, lecz mało ma mieszkańców.

Przez to że Nil opuścili, pozbawili się sławy odkrycia drugiego wielkiego jeziora Nilowego; udało się to podróżnikowi angielskiemu S. W. Bakerowi. Znając trudności i niebezpieczeństwa, na które narażoną jest każda większa wyprawa wskutek przyrody zwrotnikowej, nieprzyjaznego usposobienia plemion tamecznych i wewnętrznych zaburzeń, Baker spuścił się na własne siły; w niebezpiecznej podróży miała mu towarzyszyć jedynie małżonka. Spodziewał się on spotkać się ze Speke'iem i Grant'em, i rzeczywiście spotkanie nastąpiło w Gondokoro, dokąd dwaj ostatni

dostali się po wielu trudach 23 lutego r. 1863. Gondokoro, położone nad górnym Nilem Białym, znajduje się w ziemi Barów, najbardziej wojowniczego szczepu z mieszkających koło Nilu; nie jest to typ czysto murzyński, gdyż nie mają warg wywiniętych, ani płaskich nosów; tylko gęsty włos wełnisty stanowi rys podobieństwa z murzynami. Zamieszkują chatki, plecione robotą koszykowa, a spoczywające na palach do 60 centym. wysokich; dziedziniec otaczający chatkę pokrywają mieszanką z nawozu krowiego i piasku, a utrzymują go w wielkiej czystości. Do boju używają dzid, maczug, łuków i strzał; te ostatnie nacierają truciźną roślinną. Ciało zranione taką strzałą bardzo prędko gnęć poczyna. Na wschodzie graniczą Barowie z Latukami, pięknem plemieniem murzyńskim. Wzrost ich przecięciowo wynosi 1,68 m.; odznaczają się wielką muskularnością, kształtnymi ramionami i nogami, wielkimi oczami i umiarkowanymi ustami z grubymi wargami. Mężczyźni wiele czasu poświęcają strojowi. Włosy przeplatają niemi, tak iż tworzy się rodzaj pilśni włosianej, która ciągle się powiększa z przyrostem włosów i dochodzi do kilku centymetrów grubości. To znów stroją się w rodzaj przyłbicy: czoło ozdabiają błyszczącą opaską miedzianą, ciemną grzebieniem z tegoż materiału, a na tém przymocowują kilka piór strusich; kto jest bogaty, ubiera ową pilśń włosianą szklanymi paciorkami, muszlami i innymi fraszkami. Wyrabiają wiele przedmiotów żelaznych, które za granicę wywożą; broń, mianowicie

sztylety, krótkie miecze i włócznie robią sobie sami; w urządzeniu swych mieszkań okazują też zręczność do rzemiosł. Zmarłych chowają z wielką czcią, przy odgłosie wielkich bębnow i rogów, tańcząc przytém pięknie w malowniczych strojach; po niejakiem czasie wykopują kości pochowane, zbierają je w gliniane naczynia i stawiają w miejscu wspólném, gdzie przechowują kości wszystkich umarłych. Przebywszy potężny łańcuch górski, który się ciągnął na południe od tamtego kraju, dostał się Baker do ziemi Obbów, bardzo żyznej krainy, rodzącej wiele trawy, dzikiego wina i tytoniu. Ludność tamtejsza różni się od Latuków i mową i powierzchownością. Idąc dalej, dotarł do kraju Karamsi'ego, przez który już przedzierał się Speke z Grant'em; a przeszedłszy głęboką dolinę i i przekroczywszy nowe pasmo gór, znalazł się w połowie marca r. 1864, po czternastodniowej podróży, nad upragnioném jeziorem. Ciągnie się ono u stóp owego pasma, na południe i południo-zachód od niego. Uradowany dążył Baker wąską ścieżką ku jezioru, na co potrzebował całych dwóch godzin, z powodu niemości cielesnej. Droga prowadziła go przez łąki i pastwiska, między pochyłością góry a jeziorem leżące. Spragniony, napoły zemdlały, rzucił się Baker z chciwością i napił się dosyta źródlanej wody Nilowej; odpoczął zaś w sąsiedniej wiosce Wakowii. Jestto osada rybacka, mało zaludniona, gdyż z powodu solankowego gruntu nie można się zajmować uprawą roli; oprócz rybołówstwa ludność trudni się dostarczaniem soli, którą stamtąd daleko rozwożą. Podróżnik nasz

musiał się 8 dni zatrzymać, nim sobie z pomocą rybaków przygotował dwie łodzie i kilku wiosłarzy. Zeglował po jeziorze około potężnego wodospadu rzeki Kaigiri, która z wysokości 300 metr. rzuca się do jeziora, i koło małych biednych wiosek. Po czternastodniowej żegludze zbadał, że jezioro wypełnia głęboką kotlinę wyżyny środkowoafrykańskiej i że dokoła otoczone jest spadzistymi stokami gór okolicznych. Odkryte jezioro nazwał Baker „Albert-Nyanza,“ sąsiednia zaś ludność zowie je „Mwutan“. Dopłynąwszy do krańca północnego przekonał się podróżnik, że pasmo pobrzące się zniża; żeglując napotkał też wielką odnogę wodną, ujście Karuma-Nilu. Popłynął nią dalej i spostrzegł, iż rzeka, dotąd na 500 metrów szeroka, nagle się zwęża na 180 metr. Okrążywszy wystającą skałę, znalazł się przed wodospadem, gdzie rzeka, zwężona do 40 m., z wysokości 50 m. prostopadłe między skały spada. Wodospad ten otrzymał nazwę od Murchison'a, b. prezesa towarzystwa geograficznego w Londynie. Wielką miał ochotę Baker dostać się do wodospadu Karumskiego, lecz mnóstwo wirów na rzece i niepokoje polityczne stanęły mu na zawadzie; prócz tego deszcz nieustanny i febra przyprowadziły podróżnika do takiego stanu, iż nic nie mógł przedsięwziąć. Sąsiedni naczelnik Karamsi obiecał mu swą pomoc dopiero pod tym warunkiem, żeby mu Baker pomagał w wojnie z okolicznymi plemionami; ostatecznością zmuszony zobowiązał się narzeczcie Baker do tego, i wtedy odprowadzono go do rezydencji Karamsi'ego, Kisuny. Kiedy wkrótce po-

tém nieprzyjaciele zrobili napad, podróżnik nasz za-
tknął na swej chacie chorągiew angielską i rozkazał,
aby przed upływem dnia cofnęli się za Nil; środek ten
pomógł w istocie, gdyż murzyni bardzo się bali sądu
Chartumskiego. Na szczęście dla Baker'a, w je-
sieni r. 1864 zjawił się Turek Ibrahim nad Nilem i
powracając zabrał z sobą podróżnika do Szoi, pro-
wincyi wysoko położonej i daleko zdrowszej. Tam
zatrzymał się Baker aż do lutego r. 1865, następnie
brzegiem rzeczki Unuame ruszył dalej, doszedł znów
do Nilu Białego i jego brzegiem powracał.

Jakkolwiek podróż Baker'a uczyniła bardzo
prawdopodobném zdanie, że Nil Biały wypływa z jez.
Mwutanu, sprawdziła to dopiero dokładnie podróż
Włocha R. Gessi'ego w roku 1876. Badacz ten, wy-
ruszywszy z Dufili nad Bahr-el-Dzebel'em. popłynął
częścią Nilu, dotąd nieznaną, aż do jeziora Mwutanu,
żeglował po niem, a ostatniego marca r. 1876 przybił
do lądu w Magunga, na brzegu północno-wschodnim.
Nie udało mu się wprawdzie opłynąć dokoła całego
jeziora, sądzi jednak, że ma ono do 240 kil. długości
a 100 szerokości; jest zatem daleko mniejsze od Uke-
rewe i Tanganiki. Na północo-zachód od Mwutanu
leży porzecze bardzo rozgałęzione, którego wszystkie
wody spływają z lewej strony do Nilu Białego. Naj-
większą rzeką jest tu Bahr-el-Ghasal, która pod 9°
szer. półn. wpada do właściwego Nilu, Bahr-el-Dzebe-
lu; z jój dopływów zasługuje na wzmiankę Bahr-el-
Homr z zachodu i Bahr-el-Djur z całym szeregiem
równoległe do niej płynących z południa. W tych

okolicach przez długie lata odbywał podróże konsul. angielski J. Petherick. Jeszcze w r. 1858 wzdłuż rz. Djuru dostał się on do górzystej prowincyi Mundo; w podróży r. 1862 zamierzał spotkać się z Speke'iem i dotarł aż do Waja, skąd osobny oddział jego ludzi pod dowództwem Musada ruszył do Wanii, bardzo blisko od Mwutanu; Petherick zaś pociągnął bardziej na wschód do Gondokoro i przyszedł tam tylko o pięć dni później od Speke'a i Grant'a. W r. 1860 dolny bieg Djuru zbadał margrabia włoski Antinori; w latach 1863—65 K. Piaggia, również Włoch ródem. Z kraju nad Djurem kupiec koptyjski Ghattas zaprowadził go do naczelnika, rządzącego ziemią Niam-Niam; w tej wyprawie Piaggia spotkał się z T. Heuglin'em i Steudner'em. Z ziemi Niam-Niam robił częste wycieczki, w których dotarł aż do Kify w ziemi Monbuttu (1° szer. półn.); tam dowiedział się o wielkiem jeziorze równikowem, znajdującem się niedaleko; zadowolnił się wszelako widokiem wysokiego łańcucha, chmurami osłoniętego, a jeziora nie zobaczył.

Najlepszych jak dotąd wiadomości o téj krainie dostarczył nam podróżnik niemiecki, Dr. J. Schweinfarth. Zahartowawszy się w pierwszej podróży, którą odbywał po Egipcie i Nubii w r. 1863—66, zbadawszy tam góry nadbrzeżne nad morzem Czerwoném, ziemię plemienia Biszarin i północne stoki wyżyny abissyńskiej, udał się zaraz w r. 1868 z powrotem w podróż do Afryki środkowej. Podróżując miał sposobność doskonale przekonać się o pożytku z osad handlowych ufortyfikowanych, które w krajach rów-

nikowych pozakładali kupcy z Chartumu; idąc drogami uczęszczanymi przez nich i pod ich opieką, dotarli najdalej ze wszystkich dotychczasowych podróżników niemieckich w głąb krajów środkowo-afrykańskich. Kupcy chartumscy pourządzali sobie w prowincjach, sąsiadujących z krajami, skąd wywożą kość słoniową, tudzież między przychylnymi sobie plemionami, składy swych towarów, które zostają pod strażą uzbrojonych najemników; prócz tego składy takie służą im za punkt oparcia w podróżach do wnętrza tych krajów i utrzymują komunikację z drogami wodnymi porzeczka Nilowego. Takie składy kości słoniowej, amunicji i innych towarów do wymiany na płody naturalne zowią się „seriba“; są to właściwie niewielkie wioski, otoczone palisadą. Każdy taki kupiec ma w różnych miejscowościach rządcę swego z pewną liczbą agentów; ci dowodzą oddziałami zbrojnych, ściągają od krajowców żywność, dostarczają tragarzy w czasie pojedynczych wypraw, stanowią między plemionami spokojnymi starostów, walczą z nieprzyjawnymi, zawierają umowy z naczelnikami prowincyj bogatych w kość słoniową i raz do roku ekspedują nagromadzone zapasy do Chartum. Towary przewożą rzekami Bahr-el-Ghasal i Bahr-el-Dzebel. Ponieważ z prowincji Niam-Niam dowożą bardzo wiele rzeczy, udał się tam Schweinfurth rzeką Gazel i dnia 22 lutego r. 1869 przyożył do miejscowości, gdzie potężna rzeka pozorunie ginie nagle w labiryncie kanałów między małymi wyspami. Tam znalazł nasz podróżnik 18 łodzi, do połowy zagrzebanych w błocie i glinie. W są-

siedztwie są osady plemienia Lao. Rządziła niem wonczas sędziwa niewiasta Szol, która, posiadając liczne stada, żyła w zgodzie z cudzoziemcami; oni zaś oszczędzali jej posiadłości, aby można było zatrzymać się tam bez przeszkód. W dalszej podróży nad rzeką Gazel, dążył Schweinfurth przez terytoryum Dinków, którzy zamieszkują całą prawie nizinę na prawym brzegu; jestto rozległa przestrzeń pochodzenia napływowego, którą miejscami tylko urozmaicają gaje. Mieszkańcy mają skórę bardzo ciemną, lecz kiedy oczyszczą się z popiołu, którym ciało pocierają, skóra przybiera barwę jaśniejszą. Mężczyźni są przystojniejsi od kobiet, choć wiele twarzy ma rysy małpie; wzrost wynosi przeciętnie 1.74 metra; szczególnymi znakami ich typu są ramiona poziome i ostro wklęsłe, długa szyja i głowa w tylnej części śpiczasta. Włosy noszą po większej części krótkie, na ciemieniu kitę ozdobioną piórami strusimi. W uszach mają pierścienie żelazne; kobiety przebijają sobie także górną wargę i zakładają pręciki żelazne lub podługowate paciorki szklane. Tatuowanie lubią tylko mężczyźni i różnią się niem od innych plemion; 10 pręg w kształcie promieni idzie od nosa przez czoło i skronie. Mężczyźni odzieży nie noszą, kobiety zaś używają z przodu i z tyłu dwóch zasłon skórzanych, z brzegami ozdobionymi paciorkami szklanymi i dzwoneczkami. Żelazo cieszy się tam wielkiem znaczeniem; niekiedy kobiety mają na sobie ozdób żelaznych do 20 kilogr.; mężczyźni znowu przekładają pierścienie z kości słoniowej, które ozdabiają sobie ramiona. Oryginal-

ny mają sposób okazywania smutku: zawieszają sobie na szyi powróż. Stada była rogatego, kóz i owiec składają ich główne bogactwo; trzymają je w oddzielnych budynkach, daleko od siebie leżących; to też wiosek tam niema. Również niema między nimi żadnej łączności politycznej; jakkolwiek w obyczajach i zwyczajach, oraz w pochodzeniu, wspólność jest widoczna. W sąsiedztwie z nimi mieszkają Djurowie, jaśniejszej cery od tamtych; w podobny sposób jak i tamci, ozdabiają dolną część ramienia kółkami żelaznymi, lecz nigdy się nie tatuują; właściwą im ozdobą są ciężkie kółka mosiężne, z różnemi wyrytymi na nich rysunkami. W marcu opuszczają zwykłe siedziby i łowią ryby lub wytapiają rudę w lasach i wyrabiają rzeczy żelazne; uprawą ziemi, jak również wyrobem przedmiotów glinianych, zajmują się kobiety. Na południe od nich, między 6-8° szer. półn., leżą siedziby Bongów, którzy graniczą na północo-wschodzie z Dinkami, na południo-wschodzie z plemieniem Mittu, na zachodzie z plemieniem Golo, na południu zaś z ziemią plemienia Niam-Niam. Kolor skóry mają Bongo wie czerwono-brunatny, jakby w zgodzie z czerwonym gruntem ich kraju. Wzrostu są średniego, mięsny mają silnie rozwinięte, górna część ciała posiada rozmiary stosunkowo wielkie; oprócz tego odznaczają się u nich szerokie czaszki. Po większej części trudnią się uprawą roli, choć też nie pogardzają rybołówstwem i myśliwstwem. Ze szczególną troskliwością budują swe mieszkania; stawiają je w kształcie ostrokręgu, a na dachu zaopatrują w okrągłą słomianą po-

duszkę, zwaną „goń“, z której obserwują swe pola. Wiele starań poświęcają też na wyrabianie przedmiotów z żelaza. Za najpiękniejszą ozdobę dla mężczyzn uchodzi rząd złożonych kółek żelaznych, „dangabor“; każde kółko ściśle przystaje do sąsiednich i jest jakby przykute do ciała tak, iż ramię w niższej części okrywa się całkowicie niby pancerzem. Bongowie miłują wielce muzykę; małe flety lub monochordy są zwyczajnymi, w czasie zaś uroczystości, aby szumniejszą muzykę sprawić, biją w kotły i trąbią na drewnianych trąbach; wrzawę taką powiększają kobiety i dzieci, uderzając dyniami pełnymi kamyków lub kijmi o kije. Mężczyźni odziewają się skórczaneni fartuchami, które koło pasa zawiązują, kobiety gęstemi gałkami; reszta ciała pozostaje naga. Brak odzieży wynagradzają sobie licznymi ozdobami; kobiety zamężne przebijają wargę dolną i wkładając coraz grubszy kawałek drewna, starają się stopniowo rozszerzyć otwór; wargę górną dźwiga mosiężną igłę lub kółko. Oryginalnie odbywają się u Bongów pogrzeby. Zaraz po śmierci układają ciało w ten sposób, że kolana dotykają brody, szyję wiążą z udami, potem wkładają trupa do worka skórczanego i spuszcza ją do grobu na metr głębokiego; żeby zaś ziemia nie gniotła nieboszczyka, wsuwają ów worek do niszy na boku grobu zrobionej. Mężczyzn kładą twarzą ku północy, kobiety twarzą ku południowi; na grobie rozkładają kamienie i zatykają w około pale, tak iż mogiła ma kształt cylindra.

W dalszej podróży po porzeczu djurskiem (wody jego spływają w kierunku północnym ku rzece Gazel) przekonał się Schweinfurth, że kraj stopniowo się wznosi; na wysokości 900 metrów otworzył się oczu jego widok na nową dolinę, przez którą przepływa w kierunku zachodnim rzeka należąca już do porzecza Nilu. Schweinfurth był pierwszym z Europejczyków w tych okolicach. Dalej na południe dążył przez ziemię Niam-Niam; nazwa ta wzięta z naryczka Dinków oznacza „żarłoka“; miejscowa zaś nazwa brzmi „Sandeh.“ Oblicze mieszkańców wyraża dzikość i stanowczość, lecz zarazem i prostotę; na okrągłej i szerokiej głowie, z oczami nakształt migdałów, wisi długi warkocz: twarz odznacza się foremnym nosem, wielkimi wargami, okrągłym podbródkiem i pełnymi policzkami. Kolor skóry ten sam jak u Bongów; oznaką plemienną, różniącą ich od tych ostatnich, są 3—4 kresy oznaczone na czole, skroniach i policzkach, oraz figura kształtu X na dołku piersiowym, jako téż różne desenie na piersiach i górnej części ramion. Mężczyźni nadzwyczaj dbają o włosy; rozdzielają je przedziałem na środku głowy na dwie strony, na podziale idzie od czoła w tył zarzucony cienki warkocz, a naprawo i na lewo od niego rzęd warkoczyków, podobnych do żeber melona i na skroniach w węzeł powiązanych; z węzłów tych spuszcza się oddzielne loki, z których 2—3 najdłuższe wolno na ramię są zarzucone. Znani są jako ludożercy: zjadają ciała poległych w boju, a i w czasie pokoju spozywają zwłoki tych, co zmarli nagle, nie pozostawiw-

szy krewnych; zęby spożytych noszą na sznurkach, a czaszkami na palach zatkniętymi ozdabiają swe mieszkania. Jednak na ich korzyść powiedzieć trzeba, że tylko niektóre ich plemiona hołdują ludożerstwu.

Droga prowadziła dalej przez kraj nierówny, porosły lasem dziewiczym i przetrzynęty licznymi rzekami. Wkrótce stanął Schweinfurth nad potężną rzeką, wijącą się w kierunku zachodnim; szerokość jej wynosiła 250 metr., głębokość przy najniższym stanie wody 8 metr.; tworzy się ona o 8 kilom. od miejsca, gdzie się zaurzymał podróżnik po raz pierwszy, ze zbiegu dwóch rzek: Gaddy i Kibali, które, jak mniemał badacz, wznosząc z cech rzeki górskiej, mają niedaleko stamtąd swe źródła w górach Niebieskich na północo-zachód od jez. Mwutanu. Południową część ziemi Niam-Niam przerzyna rz. Uelle, do której wpada wiele dopływów z południa; według zdania Schweinfurth'a jest to wschodnia odnoga z pomiędzy dwóch, które w kraju Bagirmi łączą się w jedną rzekę, Szari, i głównie zasilają jezioro Czad. Południowe jej dopływy dążą z kraju zamieszkanego przez plemię Monbuttu, który możnaby nazwać rajem. Z niewielkich pochyłości patrzą na podróżnika obszerne lasy bananowe, sieć rzek i potoków żywi piękne gaje palmowe. Nic dziwnego, że owoce stanowią główne pożywienie mieszkańców. Zwierząt domowych nie chowają; mięsa dostarczają słonie, bawoły, dzikie świnie i antylopy. Tylko kobiety uprawiają rolę, zbierają płody i wyrabiają naczynia gliniane; mężczyźni znają jedynie polowanie i wojnę, choć niektórzy z nich

poświęcają się kowalstwu. O przyprawy do potraw bardzo dbają; między niemi ważną gra rolę tłuszcz ludzki, bo też ludożerstwo jest tu jeszcze bardziej rozpowszechnione niż między plemieniem Niam-Niam. Mieszkając w sąsiedztwie z całym szeregiem plemion zupełnie dzikich, któremi pogardzają i z któremi częste walki toczą, mają Monbuttowie obfitą zdobyczą pod dostatkiem; ciała poległych w bitwie dzielą zaraz na pobojuwisku, jeńców zaś pędzą do domu, gdzie ich zabijają i spożywają; dzieci zdobyte dostają się, jako najsmaczniejszy kąsek, na stół królewski. Monbuttowie mają skórę jaśniejszą od innych narodów środkowo-afrykańskich; zasadnicza barwa zbliża się do koloru kawy mielonej; u wielu napotykamy włosy jasne, a dłuższy i mniej zadarty nos różni ich dostatecznie od plemion murzyńskich. Od Niam-Niam różnią się odzieżą, którą sobie przyrządzają z łyka figowego, tudzież strojem włosów: w tyle robią z nich walcowaty lok, na przodzie zaś plotą w cienkie warkocze, idące od skroni do skroni przez czoło. Na kowalstwie znajdują się bardzo dobrze; Schweinfurth widział misternie ukute cienkie łańcuszki żelazne, używane za ozdobę; oprócz tego uprawiają snycerstwo. Wioska tam niema; większą wsią jest tylko rezydencja króla Munsy, którą zwiedził podróżnik. Dalej na południe od tej miejscowości (3—4° szer. półn.) już się nie posunął, lecz zwrócił się na północ. W drodze z powrotem robił też Schweinfurth dalsze wycieczki. Zwiedził łańcuch Baginze we wschodniej części ziemi Niam-Niam, a stamtąd w kierunku zachodnim udał się do kraju

Golów i do pustyni Dar-Fertit, gdzie mają źródła rzeki Dembo i Biry, płynące stąd na północ do Bahr-el-Arabu. Powróciwszy do rzeki Gazel dostał się do Nilu, a z jego biegiem udał się dalej.

Ze wskazówek dotąd podanych wypada, że Nil Biały wypływa z jeziora Mwutanu, w północnej jego części, i przez kraj wzniesiony dąży w kierunku północnym ku nizinom dalej położonym; pod dziewiątym równoleżnikiem północnym przyjmuje w siebie wielki dopływ „rzekę gazell“, przez którą spływają do Nilu wody z rozległej sieci rzek, biorących początek na północo-zachód od Mwutanu i płynących przez czas dłuższy równolegle do Nilu; dopływ Bahr-el-Arab prowadzi znów wody z zachodu, W miejscu, gdzie się łączy z rzeką Gazel, zwraca się Nil, do pewnego stopnia zmuszony silnym prądem, płynącym z zachodu, w kierunku wschodnim; niedaleko stamtąd, przybrawszy z południo-wschodu rzekę Sobat, znów się kieruje ku północy i pod Chartum łączy się z Nilem Niebieskim. Wielka odnoga, łącząca jezioro Mwutan z jez. Ukerewe, uważa się obecnie także za część Nilu Białego; zatem kolebką Nilu jest Ukerewe. Do tego ostatniego toczy swe wody wiele rzek z południa i zachodu; otóż, którą z nich uważać należy za właściwy początek Nilu, jest rzeczą całkiem podrzędną, zwłaszcza jeżeli zważymy, że sami krajowcy na kwestyę tę wcale uwagi nie zwracają; że więc rozstrzygnięcie pytania, nie mając podstawy w miejscowej nazwie, zależy od określenia któregośkolwiek podróznika i od

uznania jego poglądu przez ogół. Niechże zatem za kolébkę Nilu uważa się jezioro Ukerewe.

B. Podróże po właściwej Afryce środkowej.

Rzeka Kongo i kwestye z nią związane. Pierwszych wiadomości o właściwej Afryce środkowej dostarczyli nam Portugalczycy; były one jednak bardzo skąpe, albowiem, szczególnie od czasu, kiedy zaprowadzono handel niewolnikami, zależało Portugalczekom wiele na tém, ażeby owe kraje pozostały dla innych narodów europejskich zakryte mgłą tajemniczości. Grabieże i morderstwa, które panowały na wybrzeżach, doskonale podtrzymywały takie dążenia. Dopiero na schyłku zeszłego stulecia nastąpiła zmiana: Portugalczycy sami jęli podróżować po swych posiadłościach i szerzyć o nich wiadomości. Najpierwszy wspomina się tu F. J. de Lacerda, który w r. 1798 przedsięwziął podróż z Mozambiku do Kasembe (położonego na północ od jez. Bangweolo), lecz wkrótce zmarł w czasie wyprawy. Lepiej się powodziło wyprawie, którą urządził do tegoż kraju chorąży Monteiro z kapitanem Gamitem, kiedy pewna liczba mieszkańców z Kasembe pokazała się w osadzie portugalskiej Tete (nad dolną Zambezi) z kością słoniową na sprzedaż. Gubernator portugalski skorzystał z okoliczności, wysyłając do owego kraju poselstwo dla zawiązania stosunków handlowych. Celu tego wprowadzie nie osiągnięto, lecz zdobyto wiele cieka-

wych wiadomości geograficznych. Wyprawa ruszyła z Tete 1 czerwca r. 1831 przez kraj Marawów w kierunku północno-zachodnim. Marawowie trudnią się uprawą ziemi na dość szeroką skalę: skopawszy żelaznemi motykami rolę i oczyściwszy ją z chwastów, sieją rośliny strączkowe, melony i dynie. Z powodu ciągłych wojen stawiają swe okrągłe chaty w pobliżu gór i lasów. Religia ich jest bardzo mało rozwinięta, jakkolwiek wierzą w istotę niewidzialną i w wędrówkę dusz; wiara jest zanieczyszczona wielu zabobonami, jak na przykład, że wszelkie zło pochodzi od dusz zmarłych lub od czarownic; w czasie niepogody przywołują czarownika, żeby wskazał winnego i sądzą. Bóstwami domowemi są u nich małe węże, które wielką czcią otaczają; w razie walki przedewszystkiem starają się dla nich o bezpieczeństwo i za nie się poświęcają. Nie zatrzymując się tam dłużej, udali się nasi podróżnicy przez posiadłości Czewów i Tambnków, którzy zajmują obszerne równiny i stepy. Dnia 8 sierpnia przybyli do stolicy Mukandy, głównego naczelnika; otrzymawszy podarunki, złożone z różnych materij bawełnianych, sukna czerwonego, paciorków i soli, Mukanda sam przyszedł do obozu, powitał ich uprzejmie i uczęstował. Ziemia Czewów jest jeszcze lepiej uprawna i zaludniona niż kraj Marawów, lecz nie obfituje w lasy. Kiedy następnie dostali się na terytoryum Muembów, przekonali się, że kraj, wskutek wojen, zupełnie był zniszczony; cierpieli też wielki głód, aż po wielu przeszkodach spotkali jednego poddanego Muaty Kasembe, który się zobowiązał po-

prowadzić ich przez kraj zaludniony. Gdy się reszta zapasów żywności wyczerpała, nie chcieli osłabieni murzyni iść dalej i powstał bunt ogólny; uśmierzywszy burzę i ukarawszy głównych przywódców, posuwał się Monteiro dalej i dotarł do łańcucha Tjimpire, gdzie się zatrzymał, oczekując na pozwolenie Muaty do dalszej podróży. Na drugi dzień zjawili się w obozie Europejczyków posłowie Muaty, przynosząc dary, jakoto: skóry lamparcie, suszone mięso, ryby, a żądając w imieniu władcy fuzyj. prochu, krzemieni i flaszek. Na dowód, że dozwolono im wstępu do państwa Kazembe, dostali Europejczycy kości słoniowej i kilku niewolników. W drugiej połowie listopada przyszli do stołecznego miasta Kazembe. Jest to ulica, $\frac{3}{4}$ godziny drogi długa, ogrodzona z obu stron wysokimi płotami, w których są małe drzwiczki otwarte. Na końcu ulicy znajdowała się chata, otwarta od strony zachodniej, z drewnianym posągami podobnym do człowieka; przed nią ciągnął się plac wielki czworokątny. Na końcu placu stały cztery liche chatki, które dostali podróżnicy na mieszkanie. Wkrótce zaprowadzono ich przed króla, który powitał ich, otoczony całym swym wojskiem, mając po bokach dwie główne żony, harem z 400 kobiet i najważniejszych dostojników. Zaraz na drugi dzień wyprawił Muata posłańca po dary, których żądał nader wiele; obdarowany, jeszcze się tem nie zadowolnił, lecz żądał coraz więcej i tak trapił Europejczyków umyślnie przez sześć miesięcy. Portugalczycy starali się nabyć od niego miedzi kości słoniowej i niewolników

nie chcąc bez żadnego zysku powracać. Ostatecznie puszczono ich spokojnie z niewolnikami, kiedy w końcu kwietnia 1832 r. zaczęła grasować ospa.

Monteiro, jakeśmy widzieli, przedzierał się w głąb Afryki ze wschodu; węgierski zaś podróżnik L. Magyar próbował dojść tam ze strony zachodniej. Służąc w marynarce austriackiej, odbywał on podróże zamorskie; dostawszy się do Ameryki południowej, wstąpił do służby w rzplitej argentyńskiej, stamtąd przeszedł do Brazylii i znów służył na różnych okrętach. Poznał wtedy brzeg zachodni Afryki, a w r. 1849 wyruszył z Bengueli w podróż do wnętrza. Przybywszy do miasta Bihe, zaślubił jedną księżniczkę murzyńską i na stałe tam pozostał, robiąc częste wycieczki do sąsiednich krajów. Liczne plemiona murzyńskie, które tam zamieszkują, nazwał Magyar ogólném imieniem Kimbundów. Punktem środkowym u nich jest miasto Bihe, do którego prowadzi droga z Bengueli prosto na wschód. Brzegiem rzeki Katumbelli dostał się do wulkanicznego pasma Bimby, w którem powyższa rzeka bierze początek; przekroczywszy takowe, przybył do kraju rozbójniczych Kisan-dzów; stamtąd zaś doliną Kubal do łańcucha Lingi-Lingi i nareszcie do kraju Hambo. Od miasta Bihe oddzielało go jeszcze pasmo Diamba. Ludność tego kraju zachowuje wiele zwyczajów dzikich, jak naprzykład, że w czasie większych uroczystości narodowych spożywają mięso ludzkie razem z bawołem i psiém, przypuszczają bowiem, iż jeżdząc ciało walecznych

nieprzyjaciół, poległych w boju, sami staną się nadzwyczaj mężnemi. Chaty mieszkańców bywają duże, starannie zbudowane, ze ścian na trzy metry wysokich, ze słomianemi strzechami; na ścianach pomalowanych białą lub czerwoną gliną są różne ozdoby, przedstawiające zwierzęta. Zboże przechowują w licznych stodołach; są one okrągłe, wzniesione na metr, a pokryte strzechą słomianą, którą się zawsze podnosi, kiedy wypada wziąć zboża.

Podczas dalszych podróży, Magyar, przebywszy rzekę Kwansę, dostał się do kraju Kibokoów. Jest to kraina górzysta, którą możnaby porównać do Szwajcaryi, gdyby posiadała lodowce i nagie skały; szczyty ma po większej części zaokrąglone; w wąskich dolinach biegnie niezliczone mnóstwo strumieni. Leży między 10—13° szer. połud. i 20—22° dł. wschod. (Gr.). Ludność gęsta, mieszka w chatach, oddzielnie lub gromadkami leżących; koło chat znajdują się pola, na których uprawiają wiele manioku i kukurydzy, proso, fasolę i tytoń. Skutkiem częstych deszczów powietrze jest przeważnie chłodne, bywa nawet zimne w lipcu, w nocy woda w naczyniach glinianych pokryła się Magyar'owi cienkim lodem, a ziemia w około bielita się od szronu. Wody, których tu mają obfitość, tworzą wiele rzek; z nich najważniejsze są: Kasabi, Lunge-bungo, Lu-medzi i Lu-ena. W porzeczu pierwszój z tych rzek głównie bawił Magyar podczas podróży. Na południe od jój źródeł leży granica wschodnia państwa Kibokoów, do której przylega górzysta wyżyna, obszerne i gęstymi lasami porośnięte; w

lasach tych mieszkają Mukanlalowie, których, według zdania Magyar'a policzyć trzeba do najędźniejszych ze wszystkich, jakie gdziekolwiek istnieją. Wzrostu są małego, nieco wyżsi nad 1 metr, koloru czarno-brunatnego; cała postać nadzwyczaj dziwaczna: ciało spoczywa na cieniutkich nogach, jest chude choć dosyć muskularne; na cienkiej szyi opiera się wielka głowa z zupełnie równą twarzą, na której widać nos tępy, szerokie usta z grubemi wargami i małe oczy; uszy mają wielkie, włosy wełniste, krótkie. Usposobienia są spokojnego, dla obcych także uprzejmi. Za tytoń i fraszki szklane może podróżnik dostać kości słoniovój, wosku, miodu i suszonego mięsa. Usposobieniu miłującemu spokój zawdzięczają Mukanlalowie to, iż plemiona sąsiednie uważają ich za zwierzęta dwunogie, chwytają i do niewoli sprzedają. Magyar kupił też sobie dorosłego młodzieńca i dwie dziewczyny z tego plemienia, a opowiada o nich, że mu służyli wiernie i poczciwie. Z rzek, które spływają z przytoczonej wyżyny, zasługują na wzmiankę: z pomiędzy płynących na zachód Kuango, należąca do systemu rzeki Kongo; oraz płynąca dalej na wschodzie, wspomniana już Kassabi. Cały górny bieg tej ostatniej zbadał już Magyar. Wogóle podróżnik ten zapuścił się najdalej w głąb lądu w owych okolicach.

Ponieważ wszystkie próby, które czyniono na wybrzeżu północnem od Bengueli, głównie w pobliżu samej rzeki Kongo, w celu zbadania jej biegu, nie przyniosły z tej strony pożądanego rezultatu; wypadło więc rozstrzygnięcia zagadki szukać, idąc nie od ujścia

ku źródłom, lecz naodwrot. Jakkolwiek rzeka Kongo przy ujściu znaną była już w końcu w. XV; jednakże o tém jak płynie nie wiedziano wcale w ciągu następných stuleci, a to z powodu licznych wodospadów, w które dolny jej bieg obfituje, tudzież z powodu nieprzystępnych brzegów. Dopiero na początku bieżącego wieku kapitan angielski Tuckey dotarł (r. 1816) nkjdaléj w stronę przeciwną prądowi rzeki, aż za wodospad Jellala (14° i pół dł. wsch. Gr.). Przykład jego nie znajdował aż do naszych czasów naśladowców, głównie wskutek trudności, które każdemu badaniu na przeszkodzie stawały. Stosownie do wskazówek podanych przez Tuckey'a, możliwą rzeczą było sądzić, że środkowego biegu Kongo należało szukać aż pod samym równikiem; domniemanie takie znalazło potwierdzenie, kiedy podróżnicy po Sudanie podali wiadomości o wielkiej rzece, która przepływa kraje równikowe. Jeszcze w r. 1852 H. Barth słyszał o potężnej rzece, do której nawet arabscy kupcy oddawna podróże odbywają; za rzekę tę nie mogą jakoby się dostać, ponieważ szerokość jej w tém miejscu jest taka, że z jednego brzegu nie widać drugiego. W r. 1870 dotarł Schweinfurth do wielkiej rzeki Uelle, która płynie na zachód, a jak już wspomniano wyżej, według jego zdania, należy do systemu jeziora Czad. Równocześnie z tém Livingstone odkrył na południe od równika, a na zachód od jez. Tanganiki, całą sieć rzék, nienależących do systemu jezior równikowych Nilu, lecz do rzeki, która bierze początek pod 10° szer. połud., przepływa jeziora Baugweolo i Moero,

a pod 4° szer. połud. dosięga miejscowości Niangwe, gdzie (przeplłynawszy zaledwie 1800 kilom.) wielkością już Nil przewyższa. W jakim kierunku płynie dalej, było tajemnicą; to też Livingstone kusił się posunąć dalej rzeką, lecz próby jego zniweczył brak dostatecznej pomocy. Bardzo niechętnie powracał, będąc przekonanym, że odkrył źródła Nilu; aczkolwiek inny charakter kraju i całkiem nowe zjawiska w królestwie zwierząt i roślin mogły go były upewnić, że ma do czynienia z odrębnem systemem rzeczny. Kiedy następnie G. Schweinfurth odkrył bardzo blisko od okolic, zbadanych przez Livingstonea, wielki strumień płynący na zachód, można już było bezpiecznie sądzić, iż rzeki i jeziora odkryte przez Livingstonea nie pozostają w związku z Nilem, że raczej zasłużony podróżnik znalazł górny bieg rzeki zachodnioafrykańskiej, w której powszechne zdanie geografów widzieć chciało Kongo. Poczem zawyrokowali geografowie, że badania nieznaney dotąd części Afryki można dokonać jedynie z zachodu, oraz że podstawą takowego ma być oznaczenie całego biegu rzeki Kongo. Powstał wielki ruch w kołach geografów w Anglii, we Francyi i w Niemczech. Anglicy spodziewali się spotkać na połowie drogi Livingstonea, wiedzianno bowiem, że podróżnik będzie bawił w tymże czasie na zachód od jez. Tanganiki. Już ku schyłkowi r. 1872 wyruszyła wyprawa głównie na koszt Young'a, do brzegu zachodniego Afryki; na czele stał porucznik Grandy. Zamiarem jego było ominąć dolny bieg rzeki Kongo, gdzie klimat jest nader niebezpie-

czny dla Europejczyków, dosięgnąć rzeki powyżej wodospadów i postępować dalej wzdłuż jej brzegów. Dnia 20 stycznia r. 1873 wylądował Grandy w mieście portowem portugalskiem Loandzie. Stamtąd skierował się przez Ambriz do pogranicznej osady portugalskiej Bembe, w okolicach której znajdują się kopalnie miedzi i kwitnie hodowla owiec. Nie mogąc tam znaleźć tragarzy, zwrócił się na północ do kraju Kongo, którego władca Totala powitał podróżnika z czcią wielką. Kraj jest dość urodzajny; przeważnie hodują tu kukurydzę, groch i trzcinę cukrową. Zajmują się tem kobiety, mężczyźni zaś oddają się próżniactwu. Miasto stołeczne Ambassi leży na wyniosłości, około 500 m. wysokości mającej; kiedyś było warownią; od r. 1870, kiedy je opuścili portugalczycy, porzucając fortyfikacje przez siebie wzniesione, wszystkie budowle leżą w ruinach; widzieć też można szczątki kościoła. Władca Kongo panuje nad głównym gościńcem, wiodącym ze środka lądu ku wybrzeżu, i pobiera cło za przewóz; dawniej, pod opieką portugalczyków, posiadał znaczną potęgę, która jednak w ostatnich czasach upadła. W dalszą podróż ruszył nasz porucznik w drugiej połowie czerwca w kierunku północnym, ku miastu Kile-Inbele. Upały były straszne. Kiedy przybył do rzeczonego miasta, władca tameczny, będąc pijanym, zaczął tańczyć jak obłąkany naokoło cudzoziemców, wywijał rdzawym mieczem i zakazał pod karą śmierci wychodzić z miasta; w skutek tego uciekli wszyscy tragarze, czego też właśnie pragnął naczelnik. Zaopatrzywszy się w no-

wych tragarzy, szedł Grandy dalej przez gęste lasy za rzekę Quiloa; ziemia tam pokryta skałami wapien-nemi; dopiero dalej ukazują się równiny trawą poro-słe. Powtórnie opuszczony od tragarzy, z jednym tylko człowiekiem, dostał się Grandy do Tungwy, dość ludnej osady. Ludność tamtejsza prowadzi roz-legły handel kością słoniową i cieszy się znacznym dobrobytem. Naczelnik ma w swym domu europej-skie stoły i krzesła, a żyje z przepychem; dlatego też podarunki Grandy'ego wydały mu się lichemi, a wszy-stkie umowy z nim do celu nie doprowadziły: zabronił iść dalej i odmówił tragarzy. Skutkiem tego musiał Grandy ruszyć w drogę z powrotem. Tragarze często go opuszczali, tak iż zmuszony był najmować innych; ostatecznie odwołał się do księcia Kongskiego, aby mu podążył z pomocą. Otrzymałszy wiadomość, że Ambassi w skutek grasującej ospy jest prawie wylud-nione, a sam książę chory, postanowił Grandy wró-cić do Ambassi, gdzie się przekonał o prawdziwości powyższych doniesień. Zatrzymawszy się tam sie-dem tygodni dla najęcia tragarzy, udał się znów na wyprawę w kierunku północno-zachodnim, i doszedł do Lukangi nad rz. Kongo, gdzie doznał gościnnego przyjęcia w faktoryi p. Parda. Ponieważ wkrótce potem nastąpiła pora deszczowa, zatrzymał się tam aż do połowy grudnia; dalej szedł wzdłuż rzeki aż do Mussaka, gdzie go podejmował wspomniany Parda (do kwietnia 1874). Czyniąc przygotowania do dal-szej wyprawy, otrzymał od kapitana Hopkins'a wia-domość o skonie Livingstona, poczem na wezwanie

towarzystwa geograficznego w Londynie powrócił zaraz do Europy.

Krainę nad rzekami Ogowe i Gabun'em, w której Francuzi mają swe osady, badali wysłani przez rząd: V. de Compiègne i A. Marche. Zwiędził ją jeszcze w latach 1854—64 podróżnik francuski Du Chaillu i opisał mieszkańców z plemienia Fanów, którzy z prowincyj, dalej na wschód położonych, ciągle się posuwają na zachód i obecnie osiadają między Ogowe i Gabun'em. Są oni dobrego wzrostu i pięknej postaci, a znają się na wielu umiejętnościach: potrafią obrać żelazo, wyrabiali sobie dawniej i oręż, zwłaszcza strzały, które jadem zatrawali, teraz zaś używają broni europejskiej. Chociaż od czasu, jak się zetknęli z Europejczykami, porzucili ludożerstwo, nauczyli się za to innych niegodziwości. W ogóle murzyni tych okolic słyną jako miłośnicy pieniąctwa, przydługich ceremonij, nieskończonych mów i częstych bójek; głównie chodzi w takich razach o kobiety, które uważają się za bardzo korzystny majątek, gdyż można je zbyć bogatym za dobrą zapłatę, lub mieć niewolnicę. Bieg rzeki Ogowe zbadał Du Chaillu tylko w części dolnej. Ujście rzeki tworzy deltę; odnogi końcowe leżą od siebie w odległości 120 kilom.; wyżej ujścia rzeka przerzyna kraj pełen jezior i bagien, a przypływa tam, według relacyi krajowców, z północo-wschodu; ma się tam znajdować wielkie jezioro, nad którego brzegami leżą liczne porty Białych. De Compiègne i Marche postanowili prowadzić dalej badania Du Chaillu i poznali część rz. Ogowe aż do tego miejsca,

gdzie nazwa poprzednia zmienia się na „Okanda“ służąc nieznaną część rzeki. Posuwając się dalej, przyszedli do miejscowości Adanlinau-lango (na początku czerwca 1873), gdzie ich przyjął serdecznie naczelnik N'Kombiho (król słońca). Ponieważ w tym czasie wody rzeki opadły, a żegluga z powodu wodospadów była trudna; podróżnicy postanowili czekać, póki wody nie przybędzie, a równocześnie zawiązywać stosunki z osobnemi naczelnikami, aby im pozwolili kroczyć dalej przez swe terytorya. Oprócz tego użyli czasu wolnego na zbadanie jeziora Onangwe, które leży na południe od Adanlinau-lango, a odpływa do Ogowe trzema rzekami. Zbadali podobnie jez. Azingo na północy; wpada do niego rz. Akaloi, która, powiększywszy swe rozmiary przez liczne dopływy, krętem korytem, przez dwa jeziora, w pięknych brzegach do Azingo dąży. W dalszym ciągu przeszli nasi podróżnicy w r. 1874 przez krainy nad rzeką Ogowe położone, aż za prowincję Okandę; dalej powstrzymało ich w wyprawie dzikie plemię Oszebów, w pobliżu rz. Iwinda, dopływu Ogowe ze strony wschodniej. Cel więc wyprawy spełził na niczem.

Jeszcze mniej powodzenia miała wyprawa, zorganizowana przez niemieckie towarzystwo do zbadania Afryki, w r. 1873. Kierownictwo jej powierzono dr. P. Güssfeldt'owi. Wyruszone w końcu maja tegoż roku. W czasie podróży koło brzegów zachodnich Afryki, okręt rozbił się w pobliżu Sierra-Leone, a większa część ładunku Güssfeldt'a została straconą. Tém niemniej popłynięto dalej do ujścia rzeki Kongo.

Na północ od niego, w faktoryi Czinczoczo, zbudowano warownię obserwacyjną. Stamtąd podążył podróżnik nasz do prowincyi Jange, blisko rzeki nadbrzeżnej Quillo. Powróciwszy jeszcze w tym samym roku do Czinczocza, przygotowywał wspólnie z innymi podróżnikami większą wprawę w głąb lądu, którą jednakże spotkało zupełne niepowodzenie z powodu nieprzyjaznych warunków już to przyrodzonych, już politycznych. Już w r. 1875 wrócił Güssfeldt do Europy, nie zbadawszy żadnego nowego kraju; zwiędzono jednakże prowincye nadbrzeżne Kabinda, Cziluango i Loan-go, jak również sąsiednie Majombe i Jangela.

W tymże roku udali się w podróż do Afryki środkowej dwaj podróżnicy niemieccy: v. Homeyer i Dr. Pogge. Z Loandy, gdzie stanęli 3 lutego 1875, wyruszyli ku rzece Kwansa, która bierze początek pod tym samym równoleżnikiem, co miasto Banguela, płynie równolegle do wybrzeża, a następnie w kierunku zachodnim do morza dąży. Wybrzeże tamto jest piaszczyste i cierpi niezmierne upały; lecz dalej grunt się stopniowo podnosi, tak iż kraj pod względem klimatu, jak również płodów nabiera innej cechy. W części północnej mieszka plemię murzyńskie Kisamów, które trudni się głównie otrzymywaniem i rozwożeniem soli po krajach sąsiednich. W dalszym ciągu dostali się podróżnicy do Pungo Adonga; stamtąd udał się Pogge wzdłuż rzeki Kwansy, przebył pasmo Masambe, dotarł do źródeł rzeki Kassabi, dalej do siedziby Muaty Janwa, gdzie wstrzymano go w dalszej drodze; wrócił więc na wybrzeże (w kwietniu 1878).

Homeyer już był wtedy powrócił z Pungo Adonga, gdzie się rozchorował, do Loandy, a stamtąd do Europy.

Jak widzimy nie udał się zamiar, żeby od brzegu zachodniego dostać się daleko w głąb łądu; podobnie bez skutku pozostały wszystkie próby, ażeby od ujścia Kongo posuwać się w górę rzeki i zbadać bieg środkowy i górny. Rozstrzygnięcie pytania, gdzie szukać należy źródeł Kongo, i w jakim płynie ona kierunku, przypadło w udziale sławnemu podróżnikowi Stanley'owi. Podamy tu przegląd jego podróży, ile to dotyczy oznaczenia biegu Kongo. Zbadawszy wielkie jeziora środkowo-afrykańskie i wyjaśniwszy wzajemny ich stosunek, postanowił następnie Stanley posuwać się z biegiem rzeki Lualaby, ostatniej zdobyczy naukowej Livingstona. W ostatnich dniach października r. 1876 znajdował się Stanley w Niangwe; było to właśnie po opadnięciu wody. Lualaba miała wtedy 1200 metrów szerokości, kiedy w kwietniu, maju, czerwcu i lipcu miewa 4000—5000 m. Od zamieszkałych w Niangwe Arabów dowiedział się Stanley, że Lualaba płynie stale na północ; zachwiało to silnie jego przekonaniem, jakoby ta rzeka nie miała łączności z Nilem, lecz była jednoznaczna z Kongo. Powiększywszy liczbę ludzi swego orszaku do 154, udał się 5 listopada na właściwą wyprawę wzdłuż rzeki Lualaby. Rzeka płynęła stale w kierunku północnym, przez rozległą krainę Uregga; obszerne i gęste lasy przedłużały podróż i nużyły podróżników. Szli brzegiem wschodnim. Po półmiesięcznej drodze, na-

czelnik arabski Tippu-Tib, który prowadził naszego podróżnika, począł tracić siły i odwagę; odzyskał je wszakże nanowo, gdy go sobie Stanley zjednał znacznym wynagrodzeniem. Puścili się więc znowu częścią na łodziach, częścią lądem. Po drodze musieli często staczać walki z wojowniczymi krajowcami; grasująca ospa zabrała też z pomiędzy nich wiele ofiar; tak, dnia 16 grudnia pochowano w rzęce 8 trupów; d. 17 i następnych dni zmarło 6 osób, potem jeszcze więcej. Wtedy cierpliwość Tippu-Tiba wyczerpała się ostatecznie; w końcu więc grudnia (1876) wyruszył Stanley sam dalej, mając z sobą 149 ludzi i 23 łodzie. Rzeka, którą podróżnik nazwał „rzekę Liwingstona“ stawała się coraz większą i miejscami dochodziła do 2700 m. szerokości; brzegi były gęsto wioskami pokryte, których mieszkańcy zachowywali się zupełnie nieprzyjaźnie względem obcych. Potężne dopływy zasilały tu rzekę główną, najwięcej ze wschodu, mniej z zachodu; między niemi rz. Lumami miała 500 m. szerokości. Jeszcze na początku tego miesiąca doszedł Stanley do całego szeregu wodospadów, które od tego czasu jego nazwiskiem ochrzciono. Z krajowcami ciągle musiał wojować; prócz tego trzeba było torować sobie drogę przez gęste lasy nadbrzeżne; te dwie okoliczności wyczerpały siły drużyny, cierpiącej głód, i sprowadziły upadek ducha. Jeszcze między wodospadami przekroczyli równik; równocześnie rzeka główna wzięła kierunek północno zachodni, a szereg wodospadów wkrótce się zamknął. Walki z krajowcami trwały ciągle. Szerokość rzeki stawała się

znaczniejszą i dosięgała miejscami 3600 metrów; wysp przybywało; za to brzegi były płaskie i straciły na powabie. Dnia 1 lutego dotarł Stanley do 1° szer. półn., do ujścia wielkiego dopływu, nazwiskiem Aruvmi; stoczył tam zacięty bój z krajowcami. Zdobyto ich wioskę a w niej obfitą zdobycz w postaci kości słoniowej. W podziw wprawiały podróżników rozmaite oręże, ozdoby i sprzęty, z powodu dokładności wyrobu i wybornego materiału. Stanley utrzymuje, że wspomniany wyżej dopływ jest rzeką Uelle, którą Schweinfurth zaliczył do systemu jeziora Czad; mniemanie to jest może prawdziwe, lecz dowody podane przez Stanley'a nie zdają się jeszcze niezbitemi. Zasilona owym dopływem rzeka główna staje się na 6—10 kilom. szeroką; oblewa liczne wyspy; brzegi ma niskie. Płynie w kierunku północno-zachodnim aż do 23° dług. wsch. Gr., gdzie o dwa stopnie jest oddaloną od równika; tu zwraca się prosto na zachód i przybiera z południa dopływ Sankurru (22° dług. wsch.). Plemiona zachodnie zapuszczają się aż tutaj w celach handlowych. Tu po raz pierwszy usłyszał nasz podróżnik nazwisko „Kongo“. Niedaleko stamtąd zwraca się rzeka na południo-zachód i trzyma się stale tego kierunku, odkąd z południa wpada do niej dopływ Ikelemba, zapewne identyczny z rzeką Kassabi. Kongo, ściśnięta w górzystych brzegach zwięża się tutaj do 2700 m., wkrótce jednakże znowu rozlewa swe fale w wielkie jezioro. Wód, które prowadzi Ikelemba do Kongo, jest olbrzymia masa: przez kilka dni drogi płyną one niezmięszane obok fal Kongo, aż cała rzeka główna nabierze barwy do nich podobnej.

Tymczasem nowe dopływy z północy pędzą świeże masy wód do głównego koryta; Kongo płynie łożyskiem 10 kilom. szerokiem, a ściśnięta znówu górami znacznie się zwęża i powiększa bystrość prądu; wtedy zasila ją nowy dopływ, Ibari-Nkutu, dążący z południa, a według wszelkich wskazówek równoznaczny z Kuango. W tych okolicach podróżnik nasz walczył także z dzikimi Batekami; był to już ostatni, mianowicie trzydziesty drugi, bój w ciągu całej podróży. Batekowie dalej na zachód mieszkający, przyjaźni cudzoziemcom, ułatwili Stanley'owi przeprawę przez wodospady w dolnej części Kongo. Podróżnik nazwał je „wodospadami Livingstona“. Czekala tu na podzózników praca ciężka, niemniejsza od całego szeregu, który już przeszli: musieli przenosić wielkie łodzie pomiędzy niebezpiecznymi skałami; sami brnęli w wodzie. Wiele łodzi się popsuło, należało sporządzić nowe. Niejeden wierny towarzysz rozstał się z życiem, kiedy już niemal przy schyłku drogi się znajdowali; Franc. Pockock, jedyny przewodnik europejczyk, zmarł 3-go czerwca niedaleko od wodospadu Masasy. Dzień za dniem szybko mijał przy uciążliwej pracy, a przecież mały widać było postęp; każdą piędź ziemi musiano, że tak powiem, wydzierać naturze, która i tak wiele ofiar pochłoneła przez głód i choroby. Nie dziw zatem, że przewodnicy Stanley'a, wycieńczeni, zwątpili o pomyślnym rezultacie, że niejednokrotnie stawiali opór swemu dowódcy, starali się ocalić ucieczką przed surową karą z jego ręki, lub okradali krajowców, aby głód zaspokoić. Ziemia licha dostarcza-

ją mało środków do życia, a tymczasem, im bardziej się zbliżała wyprawa do wybrzeża, tem ludność okazywała mniej ufności, dostarczając żywności jedynie za rum, lub broń: Stanley zaś pierwszego już nie miał, a drugiej dawać nie chciał. Głód dochodził do najwyższego stopnia, kiedy na szczęście usłyszeli o bliskości faktoryi europejskiej Bomy. Zebrawszy resztki sił, doszli 4 sierpnia do wioski Nsonda, skąd Stanley wyprawił list do osadników europejskich w Bomie, prosząc o nadesłanie mu żywności. Dnia 9 sierpnia stanęła wyprawa w Bomie, w 276 dni po wyruszeniu z Niangwe. Wkrótce potem znalazł się Stanley w Kabinda przy ujściu Kongo do Atlantyku, podróż jego rozstrzygnęła zadanie; był to czyn najznakomitszy z tych, które wykazać może historia badań geograficznych w Afryce. W prawdzie niepodobna zaprzeczyć, że, zmuszony okolicznościami dążyć co prędzej naprzód, Stanley jedynie pobieżnie zwiędził wiele obszernych prowincyj; lecz w każdym razie oznaczył bieg rzeki Kongo, otworzył nam głęb Afryki równikowej i przygotował grunt do dalszych badań.

C. Podróże w poprzek Afryki.

W związku z pamiętną podróżą Livingstona po Afryce południowej stoją dwie wielkie wyprawy, które w ostatnich czasach uskuteczнили w Afryce środkowej: V. Cameron i znany nam już H. Stanley. Obaj rozpoczynali swe badania we wschodniej części, chcąc dopełnić badania Livingstona, głównie zaś rozstrzygnąć kwestyą biegu rzeki Lualaby. Pierwszemu nie

ndało się wprawdzie posunąć się daleko z biegiem tej rzeki, gdyż nie mógł zebrać potrzebnej liczby łodzi; odbył jednak w kierunku południowo-zachodnim drogę 1300 kilom. długą, przez kraj zupełnie nieznaną, i dotarł w końcu do ziem w okolicy jeziora Dilolo, zwiedzonych już przez Livingstona i Magyara, stamtąd zaś dostał się na wybrzeże zachodnie w pobliżu Bengueli. O Stanley'u już wiemy, jak wysłany przez właściciela dziennika „New-York-Herald“ znalazł Livingstona, a dowiedziawszy się potem o śmierci ostatniego, postanowił sobie dokończyć dzieła rozpoczętego. Udał się w nową podróż po Afryce środkowej na propozycją wydawcy czasopisma londyńskiego „Daily Telegraph“ i amerykańskiego „New-York-Heralda“. Z początku zwrócił uwagę na jeziora równikowe; opłynął jez. Ukerewe, dostał się do Mwitaniu i niedługo tam zabawiwszy zwrócił się do Tanganiki. Opłynął i to jezioro, poczem drogą Cameron'a dotarł do m. Niangwe nad rz. Lualabą. O wyprawie jego z biegiem téj rzeki jużesmy wyżej mówili.

Podróż Cameron'a. W końcu marca 1873 r. wyruszył Cameron z Bagamojo w podróż w głąb Afryki. Z miejscowości rzeczonej wychodzą też wszystkie karawany, dążące do Unjamjembe, a stamtąd ku jez. Tangan.ce. Bagamojo jestto miasto portowe, położone w niewielkiej odległości od wyspy Zanzibaru, w prowincyi bogatěj w lasy, zwierzęta, bujną roślinność, i daleko zürowszej od okolic Zanzibaru. Towarzyszyło Cameron'owi 224 ludzi, dość dobrze uzbrojonych; zasługują na uwagę z jego towarzyszków: natu-

ralista irlandzki dr. W. E. Dillon, porucznik artyleryi U. Murphy i synowiec Livingstona Morfat, który, na nieszczęście, w kilka tygodni po wyruszeniu w drogę uległ wyczerpaniu sił. Droga prowadziła z początku w kierunku zachodnim, nie żałowano pośpiechu, chcąc jeszcze przed porą deszczową przebyć błotnistą równinę „Makata“; dotarli do niej w końcu kwietnia lecz zamiar im się nie powiódł, gdyż w prędkce nastąpiły deszcze i zamieniły ową równinę w jedno wielkie bagno. Wśród wielkich trudności posuwała się dalej wyprawa; część jej pozostała w tyle i dopiero w miesiąc połączyła się z awangardą. Następnie wkroczyli podróżnicy do górzystej krainy Usagara; leży ona między 36—37° dług. wsch. Gr.; napełniają ją trzy pasma gór, ciągnące się równolegle do siebie z północy na południe. Ze strony wschodniej przechodzi ona z wolna w nizinę, brzeg zaś zachodni ma spadek przykry a kształt półksiężyca wypukłością zwróconego ku wschodowi. W dolinach zbierają się obficie wody i skrapiają dostatecznie tę krainę, obdarzoną bujnemi płodami. Główną część ludności stanowią Wasagarrowie, którzy w miejscowościach wyżej leżących odznaczają się wysokim i mocnym składem ciała, u podnóży zaś górskich są krępi. W mowie będąca kraina jest częścią kraju Ugoga, który przeważnie składa się z płaskowzgórza. Z powodu wielkiej suszy, przeważającej na niem, rosną tu na żółtym gruncie tylko krzaki, karłowate drzewka i nieco innych roślin. Wagogowie, mieszkańcy tamtejsi, niesą zupełnie brzydkimi; lecz warok ich okazuje dzikość i złość; oczy

mają mocno zaczerwienione z powodu nadmiernego picia. Odzież staranniejsza, niż zwykle w Afryce zwrotnikowej, dodaje im lepszego pozoru. Nie są niegościnni, acz niechętnie sprzedają swój dobytek. Uszy przebijają sobie i zawieszają drewnianka lub pierścienie mosiężne, wyciągając tym sposobem uszy do potworności. Prócz tego, bardzo starannie utrzymują włosy: jedni je splatają w warkocze, które sztucznie sobie przedłużają za pomocą włókien z barbabu, a na końcach ozdabiają mosiężnymi kulkami lub różnobarwnymi paciorkami; inni znów zdobią głowę lśniącymi pieniążkami miedzianymi, lub golą większą część głowy, splatając resztę włosów w warkocze niemi związane. Następnie doszli do Kanjenje, gdzie sułtanowi Magombowi musieli cło zapłacić i stwierdzić przysięgą, że „czarownicy“ nie zostawią po sobie ani chorób, ani posuchy. Na pograniczu Ugoga, droga prowadzi dalej przez Manjeku do Unjamuesi, wpoprzek pustego kraju Mgnnda Mkali, który dopiero w ostatnich czasach zaludnili w części Wakimbowie; wystawili oni sobie wzdłuż drogi karawanowej, wiele wiosek i zamienili w żyzne pola wiele kawałków pustej niegdyś ziemi. Droga tą doszli nasi podróżnicy do kraju Unjamuesi, który na zachodzie sięga aż do rzeki Malagapasi, głównego dopływu jeziora Tanganiki; kraj ten przedstawia falistą wyniosłość z łagodnym spadkiem ku zachodowi, dokąd téż wody swe wysyła; nie posiadając znacznych szczytów, pełen jest stożkowatych pagórków, na których niekiedy znajdują spore bryły syenitu. W czasie upałów grunt wyschły

ma barwę szarą, przerywaną z rzadka kawałkiem zielonej murawy lub czarnem bagnem. Za to, kiedy nastanie pora dészczów, Unjanmesi wygląda jak przesyliczny ogród. Mieszkańcy, Wanjamuesowie, hodują bydło, uprawiają rolę i budują sobie obwarowane wioski; prócz tego wyrabiają grube materye bawełniane, plotą koszyki, robią misy drewniane, siodła i broń. Za pokarm służy im „ugali“, polewka z mąki, zielenina, miód i kwaśne mleko; obiad jadają o godzinie trzeciej, przed nim palą tytoń, lub żują, używają téż do tego gliny, zwłaszcza słodkiej z mrowisk. Unjamjembe jest główną prowincją: tu schodzą się ze wszystkich stron karawany i dlatego arabowie założyli sobie w Kase osadę handlową. Jak tylko Cameron stąpił na terytoryum Unjamjembe, wyprawił posłów do Kuźkuru do tamecznego gubernatora arabskiego Sa-id-ibn-Sulim'a, zapowiadając swe przybycie; gubernator przyjął podróżnika uprzejmie i ugościł. Tu spoczął się Cameron ze sługami Liwingstona, niosącymi zwłoki jego do Zanzibaru; wziął je od nich i wyprawił dalej. Dwaj jego towarzysze, porucznik Marphy i dr. Dillon, schorzali, wycieńczeni, mieli razem także wrócić na wybrzeże; pierwszy z nich dostawszy z gorączki obłąkania, zastrzelił się w drodze w połowie listopada. Ponieważ po Liwingstouie pozostał zbiór rzadkich rzeczy, w Udżidzi, Cameron miał zamiar się tam dostać, aby je zabrać i ciągnąć dalej badania zmarłego podróżnika; lecz w ziemi Wagundów zatrzymał go naczelnik tamtejszy. Zmuszony dłużej tam zabawić, miał sposobność Cameron poznać

lepiej ziemię i ludzi. Klimat kraju Ugandy jest zwrotnikowy; prawie codziennie zrywa się burza z silnym dészczem nawalnym. Rano, skoro świt, mieszkańcy siadają przy ogniu przed chatą i palą fajki; potem wyruszają wszyscy, oprócz starych niewiast, dzieci, naczelnika i pewnej liczby starców, w pole do pracy. Na polu zwykle obiadują, a dopiero pod wieczór wracają do domu; wtedy nastają tańce, śpiew, w towarzystwie kubka; mężczyźni nie tańczą nigd razem z kobietami. Nadzwyczaj zręcznie wyrabiają oręż i urządzają swe mieszkania. Odzież sporządzają sobie z kory drzew figowych, którą zmiękczają drewnianymi młotami, a potem w długie pasma zeszywają; takie kawałki przewieszają przez ramiona i okrywają dobrze wyprawnemi skórami krów, kóz lub antylop. Ozdobą cechującą plemię, są kresy na czole i skroniach, trójkątna szpara między dwoma zębami przedniemi i trójkątny kawałek zęba hipopotama lub muszla na szyi zawieszona. Pośród wielkich trudności przekroczył nasz podróżnik, na początku lutego 1874 r., rzekę Sindi i dostał się do kraju Uwinsky. W pierwszej wiosce, Itambarze, naczelnikiem był chłopiec ośmioletni, który bojąc się białych zaczął płakać; tem niemniej i on żądał od nich podarunków. Szczególny mają Wawinsowie sposób powitania. Jeżeli się zejdą dwaj naczelnicy, młodszy kłania się, klęka i kładzie rękę przy nodze na ziemi, starszy zaś 6—7 razy klaszcze w dłonie; potem młodszy uderza się w lewą i w prawą pachę. Jeżeli się spotka wyższy z niższym, to pierwszy tylko klaszcze, ale nie odpowiada zupeł-

nie na pozdrowienie niższego powtarzając ruch, który uczynił pozdrawiający. Pospolici ludzie przy spotkaniu uderzają się brzuchami, klaszczą i potrzásają sobie ręce. Ostatecznie dotarł Cameron do jez. Tanganiki dnia 18 lutego 1874 r. Jezioro to jest wąskie, lecz ciągnie się przez 6 stopni szerokości geograficznej i może uchodzić za największe jezioro afrykańskie gdyż powierzchnia jezior równikowych nie jest jeszcze oznaczona. Długość jego, wedle najnowszych pomiarów, wynosi 700 kilom., powierzchnia zaś 3300 kilom kwadr.; tym sposobem jest ono 14 razy mniejsze od morza Kaspijskiego. Najważniejszą osadą nad jeziorem jest Kawele w kraju Udżidzi, na wybrzeżu wschodnim. Mieszkancy, Wadżidżowie, umieją, jako nadbrzeżni, doskonale obchodzić się z łodziami, pływać i nurkować; grubemi wędkami i sieciami ogromnemi łowią ryby w wielkiej obfitości. Ryby noszą na targ do Kawele, dokąd ze wszech stron zbiegają się handlujący jakoto: rolnicy i pasterze z Udżidzi ze swemi stadami, handlarze oleju palmowego z Udżidzi i Urundi, handlarze soli z Uwinsky i Uhhy, myśliwi na słoniu i kupcy z Zanzibaru. Za wszystko płacił się tu paciorkami, zwanemi „sofi“, a podobnemi do małych kawałeczków potłuczonej fajki glinianej. Cameron najął sobie wygodne mieszkanie, przeniósł rzeczy i papiery, które tam pozostały po Liwingstonie i zatrzymał je u siebie, nie mogąc zaraz odesłać na wybrzeże. Nająwszy dwie łodzie, rozpoczął żeglugę d. 13 marca po jeziorze, kierując się na południe. Brzegi były rozkoszne: składała się na to żywa zieloność

drzew, czerwone skały z piaskowca i błękit wód jeziora; liczne gatunki ptactwa ożywiały brzegi, w wodzie zaś roiły się obficie hipopotamy, krokodyle i mnóstwo ryb. Dziesiątego dnia Cameron opłynął przylądek Kungwe (6°5' szer. połud.), za którym poczyniała się część jeziora mniej znana dotychczas. Za przylądkiem wznoszą się wyniosłe góry, z których wody w obfitości spływają do jeziora. Żeglując dalej, zatrzymała się łódź Camerona przy wyspie Kabogu, dobrze zaludnionej, urodzajnej i starannie uprawnej; potem płynął mimo ujścia rzeki Musamwiry, około wielkiego przylądka Mpimbwe, aż nareszcie po żegludze, trwającej więcej niż miesiąc, zatrzymał się przy wiosce Kasangalowa, najdalej na południe wysuniętej (8°40' szer. połud.) Dnia 19 kwietnia opuścił wioskę, chcąc opłynąć południowy kraniec jeziora i posunąć się dalej na północ wzdłuż brzegu zachodniego. Płynąc koło brzegów ziemi Ugubhy, zbliżył się do rzeki „Lukuga,” która podług wskazówek przewodników tutaj z jeziora wypływa; że jednak wiadomości podawane przez krajowców są bardzo niepewne, dowiedli i owi przewodnicy, twierdząc wbrew temu, co przedtem powiedzieli, że rzeka nie wypływa, lecz wpada do jeziora, jak się dowiedzieli od mieszkańców tamecznych. Cameron przekonał się, iż woda rzek wpadających do jeziora jest słodka, kiedy tymczasem Lukuga ma wodę słoną, jak samo jezioro; potwierdziło to jego mniemanie, że Lukuga wypływa z jeziora. Ponieważ rzeka ta jest bardzo zarosła, nie mógł nasz podróżnik doprowadzić do skntki swego zamiaru, aby po niej żeglo-

wać. Powróciwszy do Udżidzi na czas krótki, wyruszył potem znowu ku brzegowi zachodniemu; przekroczył strome pasma w prowincyi Ugahha, następnie łańcuch Bambarra i dotarł do kraju Manjuema. Znajdują się tu ogromne lasy dziewicze, w których przebywają liczne stada słoni i goryłów; grunt i powietrze nader wilgotne. W wyciętych kawałkach lasu pobudowali sobie Manjuemowie oddzielne osady, w których mieszkają tak odosobnieni, że nikt się nie ośmieli iść z jednej wioski do drugiej, z obawy, aby go nie zabito i nie pożarto. Pozostając w innych rzeczach w tyle za innymi plemionami afrykańskimi, przewyższają jednak wiele z nich w przemyśle domowym. Z trawy plotą sobie piękne materye na odzież i farbują na czarno, żółto lub czerwono. Kraj nadzwyczaj jest bogaty w kość słoniową; to też handel Arabów zwrócił się w tę stronę. Roślinność jest niezmiernie bujna; przez mocne i wysokie trawy zaledwie słoń może sobie utorować ścieżkę; drzewa są bardzo wysokie, tak iż śróć nie dosięgnie papugi, skaczącej na wierzchołku, przytem roślinami pnąciami tak połączone, że z trudnością można się między nimi przedzierać. Wioski składają się z czworokątnych chat, które stoją albo długimi ulicami, albo w kształcie promieni z wielkiego placu się rozchodzą; mają formę wielkich klatek, ściany gliną obrzucone, a strzechę pokrytą gęsto trawą. Jedyne otwory stanowią drzwi, przez które dym wychodzi i światło wpada do izby; na noc zamykają się jak najtroskliwiej, tak iż cała rodzina z drobiem, kozami, owcami i psami spę-

dza uoc przy gorejącém ognisku, w miejscu dobrze obwarowanem. Odzież mężczyzn składa się ze skórzanych zasłon, które u naczelników zastępuje wielka plachta z materyi pstro ufarbowanej, a przyrządzonej z trawy. Każdy mężczyzna nosi przy sobie włócznię i nóż, którego używa przy jedzeniu; naczelnicy noszą krótki miecz obosieczny, z końcem szerokim i zagiętym. Włosy zwykle sobie smarują gliną i układają w różne formy, jak: stożków, płaszczyzn i t. p.; miejsca pomiędzy temi figurami starannie strzygą. Kobiety uchodzą za piękne i bardzo są poszukiwane przez handlarzy arabskich. Bardzo prosta ich odzież składa się jedynie ze sznurka, obwiniętego dokoła ciała. na którym u bogatszych zawieszają paciorki, a często i dwie zasłony z trawy, bogato ozdobione. W dalszej podróży przybył Cameron do kraju, przez który kiedyś przechodził Liwingston; przez pamięć na imię tego ostatniego naczelnicy przyjęli go bardzo uprzejmie. Droga prowadziła przez rzekę Luamę, ważny dopływ rzeki Lualaby, biorący początek w górach Ugomskich blisko Tanganiki, dalej przez Kasimbik. Dnia 3 sierpnia zbliżył się Cameron do Lualaby pod ważnem miastem handlowem Niangwe, przebywszy równinę stepową, lasy dziewicze, podłużne doliny i lesiste wzgórza; wszędzie spotykał kraj gęsto zaludniony jak na brzegach rzek, tak i na stokach górskich. W Niangwe znalazł gościnność u Hated-ibn-Salima, araba, który mu dom swój wynajął. Chciał podróżnik nasz puścić się w dół rzeki Lualaby, ażeby bieg jej zbadać; lecz naprózno starał się o łodzie do tej wy-

prawy u krajowców. Trafiło się wtedy, że kupiec Tipo-Tipo przybył do Niangwe ze swego miejsca pobytu, o dziesięć dni drogi dalej na południe leżącego, aby spór jakiś rozsądzić; otóż, dowiedziawszy się o Cameronie i jego zamiarze zbadania jeziora Sankorru, zaprosił podróżnika, aby mu towarzyszył do jego osady. Ztamtąd przez rz. Lomami udał się Cameron prosto ku jezioru. W końcu sierpnia był w siedzibie Russung, naczelnika zaprzyjaźnionego z Tipo-Tipo ztamtąd o 3 kilometry znajdował się obóz tego ostatniego, w prowincyi Kasonga, naczelnika. Kasongo zaszczycił naszego podróżnika odwiedzinami. Miejszem spotkania była szopa, która w dzień i w nocy służyła mieszkańcom do zebrań; tego dnia jednak mistrz ceremonii naczelnika rozpędził wszystek lud i opróżnił miejsce przed szopą. Tu się poczeli schodzić naprzód niżsi naczelnicy, następnie odgłos bębnow i krzyki zapowiedziały przybycie właściwego zwierzchnika. Na czele postępowało 6 doboszów, za nimi 20—40 mężów z włóczniami i 6 kobiet z tarczami, na koniec sam Kasongo w towarzystwie krewnych; pochód zamykali kopijnicy, dobosze i muzykanci. Przybyli utworzyli koło, poczem Kasongo, ubrany w surdut i rodzaj fartucha z czerwonej i żółtej materii wełnianej, rozpoczął z dwiema córkami taniec, który trwał kwadrans. Potem wszedł do szopy, rozmawiał dość długo z Cameronem i zgodził się dać mu kilku przewodników. Ponieważ naczelnik mieszkający za rzeką Lomami wypędził owych przewodników, wysłanych naprzód, pod pozorem jakoby nigdy cudzoziemcy uzbrow-

jeni przez ziemię jego nie podróżowali; wypadło więc Cameronowi obejść tę ziemię i skierować się przez prowincją Urua. Na podróż ofiarował mu Kasongo jednego ze swych znakomitszych mężów, oraz trzech z Urua. Wyruszono w drogę jeszcze przed połową września. Kilka dni szedł Cameron przez okolice dobrze uprawne i gęsto zaludnione; lud tamtejszy spożywa bardzo dużo białych mrówek, ugotowanych w polewce mącznej. Po dwunastodniowej drodze doszedł do wioski Kifumy, gdzie go naczelnik przyjął nader gościnnie. Kiedy jednemu z karawany ukradziono fuzję, naczelnik, dowiedziawszy się o tem, prosił pokornie, aby za to nie niszczone jego wioski; nie chciał wierzyć, kiedy go Cameron zapewniał, że nie ma się czego obawiać; a kiedy karawana spokojnie wyruszyła w drogę, posłał przez wdzięczność kilka kóz do najbliższego obozu. Podróżnik przyjął z nich tylko jedną i posłał nowe podarunki; wtedy naczelnik ukląkł i obrzucił się pyłem na znak wdzięczności. Droga prowadziła dalej przez dni kilka wzdłuż rzeki Lomami, aż się podróżnik zatrzymał w osadzie Kilemby, którą tu nad rzeką tegoż nazwiska założył Arab Dżumah Merikani głównie dla handlu kością słoniową, znajduwaną tu w obfitości i bardzo piękną. Tutaj też zatrzymał się portugalski handlarz niewolnikami Alzez, przez krajowców zwany kendale; ten ofiarował się Cameronowi, że go odprowadzi do Angoli lub Bengueli, lecz dopiero za miesiąc. Kilemba jest razem rezydencją, władzcy Kasonga, który był wówczas w drodze, zbierając podatki od ociągających się;

władzy zastępowała go najpierwsza żona, którą też podróżnik odwiedził. Zobaczywszy go, dziwiła się wielce jego białości, i nie mogła w żaden sposób zrozumieć, żeby miał być cały taki; dopiero Cameron zdjął obuwie i skarpetki i pokazał gołe nogi. Ponieważ Kasongo chciał również widzieć naszego podróżnika, aji Alviza jeszcze na miejscu nie było, musiała karawana dłużej się zatrzymać. Czasu tego użył Cameron na wycieczkę do małego jeziora Mohria, następnie do wielkiego jeziora Kassali, zwanego także Kikondza od imienia naczelnika. Nie puszczo go do niego; słyszał tylko, że mieszkańcy tamtejsi przebywają na wyspach pływających po jeziorze. Wyspy te składają się z wielkich kęp zrosniętych roślin wodnych (Tingi-Tingi), na które kładą paie drzew i krzaki, pokrywają ziemią i na tém stawiają chaty, hodują banany, trzymają drób i kozy. Wyspy przytrzymują się za pomocą kołów; chcąc zmienić miejsce, mieszkańcy wyciągają koły i kierują wyspę ku miejscu obranemu. Po powrocie do Kilembu dowiedział się Cameron, że ma się zatrzymać aż do przybycia Kasonga. Nareszcie w drugiej połowie stycznia 1875, zwiastowały jego przybycie bębny i głośne okrzyki mieszkańców. Zaraz tego samego dnia po południu odwiedził Cameron Kasonga i zaniósł mu podarunek, a naczelnik rozkazał swoim muzykantom odprowadzić cudzoziemca do domu. Przybycie Kasonga nie przyspieszyło wszelako wyruszenia karawany, jak sobie obiecywano; rzeczy, które mieli biali, zwracały uwagę naczelnika, pragnął też mieć to kapelus, to buty, to

broń i inne rzeczy. Dziwiła wielce naszego podróżnika znaczna liczba kalek między towarzyszami naczelnika w czasie odwiedzin. Najwierniejszy przyjaciel jego nie miał rąk, nosa, uszu i warg; za to był mu oddany z pokorą, do pochlebstwa posuniętą. Kasongo okazywał charakter nadęty i pyszny; uważał się za najpotężniejszego władzcę na ziemi, tylko krewnego swego, Muata Janwo, nazywał sobie równym. Cameronowi powiedział, że zwiedziłby pojechał Anglią, gdyby jezioro Tanganika nie leżało na drodze. Kiedy mu na to odrzekł podróżnik, że jego ojczyznę oddzielają od Afryki daleko większe jeziora, niż Tanganika; naczelnik zapowiedział, że nateraz odkłada odwiedzin, lecz żąda, żeby monarcha Cameron'a przysłał mu daninę, broń i łodzie razem z ludźmi znającymi się na rzeczy. Cameron odpowiedział, że jego monarcha jest daleko potężniejszy, że ma łodzie wielkości wysp, na których więcej niż tysiąc ludzi przez kilka miesięcy żyć może w oddaleniu od lądu. Wtedy nareszcie naczelnik począł utrzymywać, że nasz podróżnik jest duchem, który zstąpił z państwa duchów i dlatego uważa się za silnego mocarza. Nawet potem nie puszczał jeszcze naszego podróżnika, chcąc aby tenże był przytomny zebraniu jego naczelników. Kiedy nadszedł dzień oznaczony, w „mussumba“ t. j. rezydencyi zeszli się naczelnicy w najlepszych strojach. Cztery żony, stojąc za kasongiem, wymieniły tytuły męża, sławiąc jego wielkość; wtedy przystępowali pojedynczo naczelnicy, dla złożenia hołdu. Każdemu towarzyszył chłopiec, niosąc worek pełen

gliny lub cynobru. W odległości około 20 metrów od władzcy, brał każdy naczelnik worek i rozcierał sobie na piersiach i ramionach to, co było w worku, przestępując równocześnie z nogi na nogę i głośno wymawiając tytuł Kasonga; kiedy już dostatecznie się natarł, wyciągał miecz i rzucał się na Kasonga, lecz zaraz klękał, wbijał miecz w ziemię i tarł o niego ciało. Kasongo przemawiał kilku słowy, a naczelnik wracał do gromady. Gdy się wszyscy przedstawili, mówił do nich Kasongo o sobie i o swój potędze. Po przemowie jednego z towarzyszków Cameron'a, Kasongo polecił podróżnika Alvezowi na dalszą drogę. Kiedy zaś Alvez jeszcze się nie zabierał do podróży, Cameron przekupił Kasonga, i nareszcie przystąpiono do dalszej wyprawy. Po przymusowym pobycie w Totele, gdzie Cameron musiał przy pomocy swych ludzi stawiać nowy dom dla Kasonga i znowu kilka tygodni czekać na powrót jednego oddziału karawany Alvez'a, wyruszono na dalszą wyprawę dopiero na początku czerwca 1875. W drodze ludzie Alvez'a niszczyli gorzej od szarańczy pola zbożowe, łupili mniejsze oddziały krajowców, niosących dla Kasonga ryby suszone i zboże, jako daninę; podróżnika naszego w wysokim stopniu to gorszyło, lecz był bezsilnym. Koło brzegu rzeki Kiluilui (czyli rzeki czar-ta) prowadziła droga przez okolicę lesistą. Wspomniana rzeka płynie tu łożyskiem, na 13 m. szerokiem, wyżłobioném w piaskowcu, a zacienionem drzewami tak, że promienie słoneczne przez liście się nie przedostają. Za tą okolicą pagórkowatą, szedł Cameron

przez równiny bagniste i doszedł do wioski naczelnika Lunga Mandi, a wkrótce potem do rzeki Lowoi, dopływu jez. Kassali. Przebywszy takową, dostał się do ziemi Walundów, ludu niechlujnego i dzikiego. Mężczyźni odziewają się w skóry, kobiety w plecionki z łyka; włosy zlepiają gliną i tłustością. Nie znają ozdób, a cena paciorków i sukna, była im zupełnie obcą; wnosi z tego nasz podróżnik, że zrzadka, albo zgoła nie widują karawan. Chaty czysto stawiane są bardzo niskie, gdyż zaledwie na metr wysokości; w koło nich leżą role, których pilnują fetysze, mianowicie suche drzewa, małym płotem otoczone, z gałęźmi opatrzonemi w garnki gliniane lub dynie. Wkrótce potem dotarł Cameron do prowincyi Lowale; odwiedził tam naczelnika Katende, u którego miał już po roku 1850, posłuchanie Livingston; przeprowił się przez rz. Lumedzi, odwiedził Mona Peha w jego wiosce, poczem doszedł do okolic, które zbadał podróżnik węgierski L. Magyar w r. 1849. Ztamtąd wkrótce stanął w Bihe, gdzie znalazł serdeczne przyjęcie i łożę z pościelą w domu kupca Gonealves'a, niegdyś kapitana od lat wielu osiadłego w Bihe. Odпочąwszy, ruszył do Kambali, stolicy króla Konga, gdzie go powitali niektórzy z radców Konga, a głównie żona nieobecnego natenczas pierwszego radzcy, która go uczęstowała wielkim garnkiem polówki i suszoną szarańczę. Po południu tegoż dnia przyjął Camerona król, napół niodołężny i opity; mieszka on na najwyższym krańcu góry, aż trzynastacie razy obwarowanej. Będąc już blisko wybrzeża, umyślił z pięcioma wybranemi ludź-

mi i niewielkimi pakunkami udać się pospieszniej ku wybrzeżom; taka forsowna podróż okolicą górzystą, mało przystępną, poprzecinaną wodami, wyczerpała wszystkie siły uczestników wyprawy. Już zwątpił Camerou o powodzeniu swego przedsięwzięcia, kiedy oczom jego pokazała się na widnokręgu jasna pręga, w której, po bliższem rozpatrzeniu, poznano morze. Pędem zbiegli nasi podróżnicy ze stoków Katombela i zwolnili swe kroki dopiero na miejscu upragnionem (7 listop. 1875). Na parowcu „Bengo“ popłynął Cameron do Loandy, gdzie wylądował 21 listopada; pierwsze kroki skierował do konsula Hopkins'a, któremu się przedstawił następującemi słowy: „Jestem przychodzień z Zanzibaru, drogą lądową.“ Konsul spojrział na przybyłego okiem zdziwionem, przypomniał sobie i zawołał: Cameron! jakie szczęście dla mnie, że pierwszy was witam!“ Z Loandy popłynął z powrotem do Europy i przybył tam na początku kwietnia 1876 r.

Podróż Cameron'a należy do najgodniejszych pamięci: przeszedł on kraje, po większej części przedtem weale nieznanne, w najniebezpieczniejszej części lądu afrykańskiego, walcząc w drodze, 4500 kilom. dłużej, z chorobami, uporem krajowców i niewiernością przewodników; pracą dwóch miesięcy uskutečnił dokładne pomiary Tanganiki, tak że go nazwano „drugim odkrywcą tego jeziora; przed nim nikt nie objechał całkowicie żadnego z jezior afrykańskich, nawet mniejszych, jak Czad lub Cana. Dalej przeszedł zupełnie nieznanem terytoryum, zrobiwszy 1300 kilm. z

Niangwe do krain zachodnich, które już byli zbadali Livingston i Magyar. Odkrył te kraje i otworzył je nie tylko dla nauki, lecz i dla handlu; znalazł pokłady węgla, złota i srebra, miedzi i żelaza, z owoców orzechy muszkatołowe, kawę, palmę olejną, bawełnę, trzcinę cukrową i wiele innych. Kanałem możnaby połączyć porzeczce Kongo i Zambezi, gdyż z powodu równej ziemi dwa te systemy w porze deszczowej już i teraz się łączą.

Podróż Stanley'a. W połowie sierpnia 1874 r. opuścił Stanley brzegi Anglii a w listopadzie tegoż roku wyruszył z Zanzibaru w podróż w głąb lądu. Z europejczyków towarzyszyli mu óraccia Pocock, zręczni żeglarze z hrabstwa Kenta, i Fr. Barker, subjekt handlowy. W czasie wyprawy do jez. Mkerewe zmarł Ed. Pocock, a wkrótce potem i Barker, kiedy żeglowano po jeziorze, pozostał więc z białych tylko F. Pocock, który towarzyszył naszemu badaczowi w podróżach do Mwutanu, Tanganiki, Niangwe i w drodze rzeką Kongo, aż znalazł śmierć gwałtowną w wodospadzie. Skoro tylko rozniosła się wieść w Zanzibarze o przybyciu Stanley'a, zgłosiło się wielu, chcąc towarzyszyć podróżnikowi w wyprawach; przyjęto wszakże tylko pewnych uczestników, znanych z dawniejszych wypraw Livingstona i Stanley'a, przeważnie Wangwanów i Wanjanmusów. Dnia 47 listopada 1874 wyruszono w drogę z Bagamoja. Na czele postępowoła 4 ludzi, za nimi 12 przewodników w czerywonych surdutach, następnie długi szereg z 270 ludźmi, niosących pakunki i rozebraną na części łódź „Lady

Alice,“ dalej szli europejczycy z ludźmi orężnemi; zamykała pochód aryergarda z 16 ludzi złożona; cały orszak liczył półczwarta sta osób. Nowy rok 1875, powitali nasi podróżni w Mukonduku; tam opuścili zwykłą drogę, wiodącą do Unjamjembe i skierowali się na północ, a w połowie stycznia stanęli w okolicach jeziora Ukerewe. Stanley znalazł się tu w krytycznem położeniu: mieszkańcy tamtejsi, Warimowie, zachowywali się względem niego nieprzyjaźnie, a między uczestnikami wyprawy wybuchły choroby, których pierwszą ofiarą padł E. Pocock (w Cziwynie d. 17 stycznia). Z wyżyny zstąpiła karawana na szeroką równinę, która, jako obfitująca w zwierzynę i bardzo urodzajna, dostarczyła towarzyszom Stanley'a szczerze żywności i pożądanego spoczynku. Pod koniec lutego dotarli do kraju Usukumy, gdzie pokrzepili swe siły w wiosce Kagehü nad jeziorem Ukerewe i przystąpili zaraz do składania łodzi. Na początku marca rozpoczął Stanley z częstką karawany żeglugę naokoło jeziora i popłynął wzdłuż brzegu wschodniego, mając zamiar zwiedzić państwo Uganda, położone na północ od jeziora, a którego władca Mtesa znany nam jest jeszcze z podróży Speke'a. Chciał Stanley rozwiązać pytanie, czy Ukerewe jest jednem wielkiem jeziorem, jak twierdził Speke i Grant, czy téż dzieli się na mniejsze oddziały, jak świadczył Burton i Livingston, idąc za opowiadaniem krajowców. Stanley zbadał wszystkie zatoki, zagłębienia, wyspy i przylądki brzegu wschodniego; wpłynął na Kuruma-Nil i do-

tarł do wodospadów Ripon'a; sprawdził potem, że niema drugiego wypływu Luadzeru, i że rzeka Murchisou'a jest tylko zatoką jeziora. W końcu marca wyładował na wybrzeżu posiadłości Mtesa, zapowiedział naprzód swe przybycie przez umyślnych posłów i został powitany w bliskości wioski Usawary przez umyślnych także posłów Mtesa, którzy go podejmowali i dopiero wtedy zaprowadzili do króla. Charakter tego ostatniego inaczej przedstawia Speke, inaczej Stanley; prawda i to, że czas, a z nim ludzie się zmieniają. Według relacyj Stanley'a, jest to władca potężny, używający wielkiej powagi w krajach sąsiednich, rozumny i dowcipny, który pod kierownictwem szlachetnych mężów więcejby mógł się przyczynić do polepszenia stanu krajów środkowoafrykańskich, niż pięćdziesięcioletnie opowiadanie ewangelii bez pomocy takiego autorytetu. Podróżnik zauważył z podziwem porządek i poszanowanie prawa w jego państwie; jest to zasługą muzułmanina Muley ben Salima. A jak sam Mtesa odznacza się charakterem i postępowaniem przed innemi naczelnikami afrykańskimi, tak jego poddani przewyższają swych sąsiadów lepszą odzieżą i łagodniejszemi obyczajami. Stanley zwiedził też miasto stołeczne Mtesa, nastokach góry Rubagi, i tam spotkał się z Europejczykiem, pułkownikiem Linant de Bellefonds, członkiem ekspedycyi Gordona-baszy. Stamtąd udał się dla zbadania brzegu północnego i zachodniego jeziora Ukerewe. W tym czasie musiał stoczyć pierwszy krwawy bój z mieszkańcami wyspy Bumbirch. Na uprzejme ich wezwanie przyoił do wy-

spy; lecz jak tylko to uczynił, mieszkańcy rzucili się na wiosłarzy, odebrali im wiosła i wyciągnęli łódź na ląd. Widząc, że opór byłby daremny, wpadł Stanley na myśl uwolnić się od nich ofiarą części swych zapasów. Podczas kiedy krajowcy podziwiali owe skarby, zepchnięto łódź do wody, poodrywano siedzenia i deski i użyto zamiast wiosel. W skutek braku żywności, doświadczyli nasi podróżnicy głodu, znosili też pragnienie w dalszej żegludze, aż nareszcie w pierwszej połowie maja powrócili do Kagehü. Zbadanie jeziora Ukerewe potwierdziło zdanie Speke'a, że jezioro to jest pojedyncze, choć liczne wyspy w bliskości brzegów dzielą je jakby na części. W Kagehü uległ chorobie Fr. Barker, niektórzy z najpożyteczniejszych towarzyszy przenieśli się do wieczności, sam Stanley dostał silnej febry; lecz pomimo to wszystko trwał w zamiarze udania się do jez. Mwutanu. W tym celu skierował się ze swą drużyną do ziemi Uganda, gdzie miał zapewnioną opiekę ze strony Mtesa. Zamierzał on dotrzeć tam drogą lądową, lecz wkrótce rzekł się tej myśli z powodu przeszkód ze strony plemion tamtejszych i udał się przez jezioro gdzie znów musiał zdobywać siłą oręża wolne przejście około wyspy Bumbirch. W pierwszej połowie sierpnia r. 1875 przybyła karawana do Ugandy. Ponieważ król Mtesa walczył natenczas z Mawumami, nie mógł zatem podać Stanley'owi pomocy w dalszej wyprawie; prócz tego, zwyczaj w Ugandzie nie pozwala cudzoziemcom podróżować dalej w czasie wojny. Zatrzymał się więc Stanley i wziął udział w walce

Kiedy walka już długo się ciągnęła, uciekł się nasz podróżnik do podstępu wojennego: z trzech największych łodzi urządził pływającą forteczkę, w której umieścił 60 wiosłarzy i 150 strzelców; wszystko zakryte było niebieskimi, czerwonymi i białymi oponami, tak iż się zdawało, że łódź sama się posuwa. Kolos ten podpłynął ku brzegowi, na którym stało wojsko nieprzyjacielskie; kiedy już był blisko, ozwał się z jego wnętrza głos, wzywając do pokoju i poddania się i żądając rychłego namysłu. Rzeczywiście po krótkiej naradzie Wawumowie poddali się i wysłali dwoje dziewcząt oraz kość słoniową na znak poddaństwa. Po ukończeniu wojny Mtesa zezwolił na podróż Stanley'a ku jezioru i dodał mu do obrony kilku naczelników z tysiącem ludzi swjej straży przybocznej, pod wodzą Sambusego. Z Duma wyruszono 1 stycznia 1876 w drogę lądem, nową zaś zbudowaną łódź „Livingston“ niesiono w pięciu częściach. Już 11 stycznia stanęła karawana na skraju wyniosłości, od której o 340 m. głębiej leży jezioro Mwutan, Stanley chciał opłynąć całe jezioro, lecz musiał się zrzec tego zamiaru z przyczyny nienawiści mieszkańców okolicznych, témbardziej że Wagandowie, którzy mu towarzyszyli, nie chcieli walczyć, a i jego własni ludzie pełni byli strachu. Po dwóch dniach karawana rozpoczęła odwrót, a idąc pośpiesznie, w sześć dni stanęła na granicy państwa Ugandy. Owocem całej wyprawy było to, że nasz podróżnik poznał osobliwe plemię Gambaragarów, które się różni od sąsiadów jasną picią, regularnemi rysami twarzy i prawie wy-

łącznie używa pokarmów mlecznych; u Wagandów nie cieszą się poważaniem dla tchórzostwa. Dnia 18 stycznia rozłączył się Stanley z ludźmi Mtesa w wiosce Kawanga i udał się do króla Rumanika w Karagwe; król ten znany jest z podróży Speke'a i Graut'a. W mieście stołecznem osiedli już Arabowie, którzy tu handel prowadzą. Niedaleko ztamtąd znajdują się szczyty, z których widać daleko na zachodzie wysokie góry Ufumbiro, na południe ziemię Ruanda, a u stóp rzekę Kagerę, odpływ zachodni jez. Ukerewe. Jeszcze teraz miał nadzieję nasz podróżnik, że mu się uda przedrzeć znów do Mwutanu; lecz wkrótce zrzekł się zamiaru tego, a zwrócił uwagę na rz. Kogerę i doszedł do przekonania, że jest-to główny dopływ jeziora Ukerewe. Pod koniec marca 1876 r. opuścił Stanley króla Rumonika i ruszył przez krainę Unjamuesi, która z powodu mnóstwa drobnych naczelników wielce jest niebezpieczną dla podróżników. Największej powagi używa tam król Mirambo, który przez swe wojny ukryte i jawne stał się postrachem całej okolicy. Obawa wzrosła między towarzyszami Stanley'a, kiedy nadeszła wiadomość, że ów groźny mąż się zbliża. Mirambo stanął przed Stanley'em, lecz wydał mu się wcale innym, niż go sobie przedstawił; zamiast nieprzyjaźni, zawiązała się między nimi przyjaźń. Po wzajemnem złożeniu sobie podarunków, rozeszli się 23 kwietnia. W końcu maja stanął nasz podróżnik nad brzegami Tanganiki w Udżidzi.

W przeciągu kilku dni złożono łódź żaglową „Lady Alice“, a 11 czerwca zaraz wyruszył Stanley

w drogę naokoło jeziora; płynął z Udżidzi wzdłuż brzegów wschodnich na południe, następnie dalej koło brzegu zachodniego aż do krańców północnych, tak iż w ciągu 51 dni opłynął całe jezioro. Za pomocą chronometru i obserwacji słonecznych utworzył sobie nasz badacz dokładny obraz zarysu brzegów ze wszystkimi zatokami, małemi wysepkami przybrzeżnemi i dopływami. Jezioro w mowie będące ma, według Stanley'a, 530 kilom. długości, a 16—20 szerokości, głębokość — znaczną. Dość ważnym wynikiem pracy Stanley'a było to, że badając rz. Lukugę obalił zdanie Cameron'a, jakoby ta rzeka była jedynym odpływem jeziora. Stanley dostał się na lekkiej łódce do ujścia Lukugi i płynął po niej 5 kilometrów, dopóki nie natrafił na nieprzebyty las trzciny. W ciągu czterech dni zwiedził rzekę i przekonał się, że Lukuga nie wypływa z Tanganiki: za owemi bowiem pięcioma kilometrami wolnych wód (które przepłynął Stanley) ciągnie się łożysko, trzy kilometry długie, zagrodzone bagnami, były one do niedawna suche w górnej swej części (przed końcem 1875 r.), dopiero później zarosło trzcina i paprociami i nappełniło się wodą; prądu żadnego tu niema, lecz w górnej części bagien ciągle zbierają się wody dalej na zachodzie i dają początek rzęce Luindi, która odpływa do rzeki Lualaby. Jeżeli zważamy, że Cameron, a po nim Stanley spostrzegli znaczny przyrost wody w jeziorze, tak, że drzewa, niegdyś na suchej ziemi stojące, obecnie głęboko w wodzie są zanurzone, a całe półwyspy w skutek zalania przesmyków zamieniły się na wyspy;

to doczekamy się, że przy stałym podnoszeniu się poziomu jeziora, Lukuga stanie się odpływem jeziora, który będzie odprowadzał wody Tanganiki przez Luindi do Lualaby, przez tę ostatnią zaś do Atlantyku. Ukończywszy żeglugę po jeziorze, rozpoczął Stanley dalszą wyprawę, a to dzięki swój energii i stanowczości. Kiedy bowiem wrócił do Udżidzi, zastał swą karawanę w najwyższym rozstroju: wybuchła w niej była oспа, która wielu do grobu wtrąciła, wielu kazała szukać ocalenia w ucieczce. Podróżnik nasz zabrał się energicznie do rzeczy: tych, co byli podejrzani, kazał okuć w żelaza, pewnym tylko zostawił broń i pociągnął w końcu sierpnia ku Niangwe drogą którą szedł był Cameron, aż do Bambarre; ztamtąd zboczył brzegiem rzeki Luamy aż do jej ujścia i znów brzegiem Lualaby dotarł do Niangwe. Na początku października wkroczyła karawana do kraju Manyemy, który znacznie się różni od prowincyj dalej na wschód położonych: rozległe i bujne równiny ciągną się naprzemian obok miejsc pagórkowatych, gęsto porośniętych; mieszkają tam plemiona murzyńskie. Zamiast kóz na wysokich nogach spotykamy tam niezgrabne kozy karłowate; papugi są szare, małpy z nogami podobnymi do ludzkich. Chaty mają kształt nie stożkowaty, lecz kwadratowy, ustawione są w długie równe ulice. W pierwszej połowie października doszedł już Stanley do rz. Lualaby i szedł przez kraj Uzuzu, gdzie się zapoznał ze znanym naczelnikiem arabskim Tipo-Tipo, który zgodził się towarzyszyć mu w dalszej wyprawie. Tymczasem sam udał się dalej i przy-

był w końcu października do Niangwe. Tutaj zachwiał się w swém domniemaniu, jakoby Lualaba nie miała związku z porzeczem Nilu, a to dlatego, że według opowiadań osiadłych tam Arabów Lualaba, dokąd tylko ją zbadano, płynie stale na północ. Gdy Tipo-Tipo w pierwszych dniach listopada połączył się wraz ze swymi ludźmi z karawaną Stanley'a, wyruszono d. 5 listopada r. 1876 w dalszą drogę zbiegiem rzeki Lualaby. Przebieg tej wyprawy już znamy; tutaj pozostaje nam podać nieco wiadomości o krajach i mieszkańcach w sąsiedztwie téj rzeki. W Ikondu (2° 55' szer. połud.) chaty mieszkańców podobne były do podwójnych klatek; zręcznie z trawy zrobione, mają do 2½ m. długości, 1½ szerokości a 2 wysokości. Obie takie części pokryte są wspólnym dachem, a wewnątrz oddzielone pokojem, wspólnym dla obydwóch: w nim schodzą się rodziny, odbywają prace domowe i zapraszają się przyjaciele na gawędę. Choć ludność miejscowa uciekła przed obcymi, ci ostatni znaleźli dość żywności: naczynia z winem wisiały na palmach, bananów i melonów znaleziono obficie. Zastali téż tam dziwnego wojownika z plemienia karłów „Watwa“: miał wysokości 1.38 m., a uzbrojony był w mały łuk i bardzo drobne strzały. W Winia-Ndżarze (940 kilom. na północ od Niangwe) napadli na Stanley'a krajowcy; po odparciu pierwszego ataku, karawana obwarowała się w obozie, a nazajutrz podróżnik nasz zdobył szturmem Winia Ndżarę. Na to cała okolica wzięła się do broni, lecz po dłuższych walkach została pokonaną. W dalszej podróży przy-

szło do wielkiej bitwy przy ujściu rz. Aruwinii. Flota Stanley'a wpłynęła była właśnie na Aruwimi, kiedy flota nieprzyjacielska w sile 54 łodzi poczęła ją ścigać groźnie; Stanley kazał swym statkom zarzucić kotwicę i skupić się blisko siebie. Flota nieprzyjacielska, otoczywszy prawie ze wszech stron Stanley'a, wyrzuciła z groźnym krzykiem cały las włóczni na jego ludzi; lecz broń palna zrzędziła takie straszne spustoszenie między krajowcami, że w krótkce rzucili się do ucieczki, tak iż daleko jeszcze na lądzie ich ściganono. Zabrano tam mnóstwo kości słoniowej, bo aż 133 kawałki w cenie około 40,000 złr. Po pięciodniowej żegludze stanął nasz podróżnik w ziemi Nganse, gdzie od spokojnych mieszkańców dostał żywności za różne podarki. Krajowcy tatuują się obficie od głowy do kolan; na piersi zdobią się kwadratami, kółkami, falistemi kreskami, różyczkami i innemi deseniami, tak że pierś wygląda jak karta pergaminowa z hieroglifami; czoło zdobi sześć pręg od skroni do skroni, tyleż pręg mają policzki, od oczu zaś do nosa idą kresy faliste; na brodzie widać różyczki; szyja znów z wielkimi guzami wygląda jakby wole. W ten sposób szpecą się straszliwie; prócz tego zawieszają naszyjniki zrobione z zębów ludzkich, gorylowych i krokodylich, tak że pod niemi nie widać samej szyi. Bardzo pospolitym jest tu zwyczaj zawierania braterstwa; czynią to bądź dla zaspokojenia ochoty na krew, bądź dla podarunków, które się za to otrzymuje. Tacy bracia robią sobie nacięcia na obu ramionach i schyliwszy głowy poddają się dalszej operacyi, która zależy

na tem, że wzajemnie wysysają sobie krew z największym apetytem. Na zapytanie, jak się nazywa rzeka tam płynąca, mieszkańcy Nganse odrzekli: „Ikutu-Ja-Kongo“. Po dniu drogi ztamtąd dostał się Stanley do ziemi Urangi. Znalazł tam miasto 15 kilom. dłgie, którego mieszkańcy prowadzili z nim ożywiony handel; lecz kiedy na drugi dzień Stanley popłynął dalej, napadli nań ci z mieszkańców, z którymi był handlował, na ten raz uzbrojeni i rozooczęli walkę. Po dwugodzinnym boju udało mu się uniknąć niebezpieczeństwo. W krótcie potem napadło nań sąsiednie plemię Mpakiwanów, a nazajutrz znów (14 lutego) potężny szcep Bangalów, z którymi bitwa trwała aż do zmroku. Dopiero w dalszej podróży napotkał spokojnych mieszkańców w prowincyi Ikengu. Ostatni bój stoczył o 15 kilom. wyżej ujścia rzeki Nkutu. Zaledwie przemógł owe niebezpieczeństwa, spotkał no we trudności: musiał przebyć cały szereg (57) wodospadów i raf na rzece. Przeprawa ta trwała pięć miesięcy, a każdy dzień połączony był z wielu niebezpieczeństwami, ranami, nędzą, rozpaczą, często nawet śmiercią. Wąskie brzegi, utworzone z nagich skał, stromo spadały ku falom, zwiężając łożysko, grożąc głazami. Rzeka dążyła dalej krętą drogą, to pokryta długiemi szeregami siwych bałwanów, to czarna jak chmura w czasie burzy, to z przepaści w przepaść spadając, to kłębiąc się olbrzymiemi falami, tak że głowy wiosłarzy nawet tonęły w pianie i tumanach mgły. Tylko fałszywemi wskazówkami mapy Tuckey'a oszukany odważył się Stanley puścić w tę niebezpie-

czną drogę, gdyż, podług Tuckey'a, wyżej wodospadów Jellala rzeka płynie jakoby zupełnie spokojnie kiedy tymczasem podróżnik nasz napotkał w tych miejscach 30 strasznych porohów i wodospadów. Za takie prawie nadludzkie wysiłki wynagrodził Stanley'a świetny rezultat, że sprawdził tożsamość Kongo Tuckey'a z wielką rzeką Livingstona. Zarazem pokazało się, że większa część tej rzeki nie jest żeglowną z powodu licznych porohów i wodospadów.

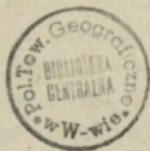
Możemy tu dodać, że podróżnikowi francuzkiemu, hr. Savorgnan de Brazza, udało się rozwiązać zadanie jakby można tę część Kongo zrobić przystępną dla handlu. Wiadomo naszym czytelnikom, jakie zasługi położyli Francuzi przez zbadanie krain nad rzeką Ogowe. Dokładne rozwiązanie pytania, jak płynie owa rzeka i gdzie ma źródła, zawdzięczamy Savorgnan de Brazza, który podróżował tam między 1875—1878 r. Zyskawszy znaczne poparcie ze strony władz francuzkich, wyruszył Brazza w podróż w sierpniu r. 1875; dnia 10 lutego 1876 był już w Lope nad środkowym Ogowe. Porozumiawszy się z dzikimi Fanami, którzy w r. 1874 zagrodzili byli dalszą drogę Compiegne'owi i Marche'owi, doprowadził przy ich pomocy wyprawę do ziemi Adumów; ztamtąd dostał się do Awumbów, a koło wodospadu Pubary odkrył, iż Ogowe tworzy się tu ze zlania dwóch rzek: Babandzi (czyli Ogowe) i Passy; o kilka godzin drogi od połączenia leżą źródła obydwóch. Jakkolwiek ten wypadek badań w niwecz obrócił nadzieje wszystkie Francuzów co do wielkiej drogi wodnej, przewodzącej

do wnętrza Afryki; jednakże stratę tę wynagrodziło znalezienie innej drogi, prowadzącej ztamtąd ku Kongo. Kiedy bowiem Brazza zapuścił się dalej na wschód, dotarł do wielkiej rzeki Alimy, która wedle opowiadań krajowców wpada do drugiej wielkiej rzeki. Chciał on zająć się zbadaniem biegu odkrytego strumienia, lecz przeszkodzili mu nieprzyjacini Apfurowie, tak że zmuszony został opuścić tę ziemię. Posunąć się dalej na wschód nie pozwoliło mu też plemię drapieżnych Angieh; zwrócił się więc na północ i przebył wielką rzekę Likonę, poczem dotarł aż do rzeki Lebaj Okue ($\frac{1}{3}^{\circ}$ szer. półn.) dnia 11 sierpnia 1878. Był to najdalszy punkt krańcowy w jego podróży. Powróciwszy do Europy i dowiedziawszy się o podróży Stanley'a, nabrał jasnego pojęcia o krajach, w których podróżował: przekonał się mianowicie, iż cały szereg strumieni, które przebył, należy do porzecza rzeki Kongo. Będąc nad Alimą, o pięć tylko dni drogi był oddalony od Kongo. Odkrycie więc tej rzeki jest bardzo ważne. Ponieważ zaczyna ona być spławuą o 100 kilom. od tego miejsca, gdzie nią być przedstawia Ogowe; możnaby łatwo przewozić tu towary przez przestrzeń stosunkowo niewielką. Mniejsze parowce mogłyby chodzić po Alimie aż do miejsca, gdzie dotarła wyprawa Brazzy; z Alimy dostawałyby się na Kongo już poza wodospadami o co właśnie idzie w tym razie. Jakkolwiek przeto rzeka Ogowe nie okazała się prostą drogą od brzegu zachodniego w głąb lądu, może wszakże posłużyć za użyteczne ogniwo łączące.

*

*
Widzieliśmy, jak z postępem czasu w bieżącym stuleciu coraz bardziej rozszerzały się wiadomości geograficzne o Afryce, tak że obecnie oprócz małego paska w części zachodniej Afryki zwrotnikowej zbadany mamy cały ląd afrykański. Dużo w prawdzie jeszcze brakuje do tego, aby powierzchnia znajomość wielu okolic ustąpiła dokładnemu ich zbadaniu; w każdym jednak razie zadanie rozwiązano. Jak zaranie wieków nowożytnych nazwano „wiekiem odkryć“ wogóle, tak znów wiek XIX zasługuje na miano „wieku, w którym odkryto cały ląd afrykański.“

KONIEC.



Wieloletni, jak w podobnym razie w diecezji
stał się przez długi czas, nie wiadomo
konkretnie o Ancy - jak na obecnym miejscu
pokoju w czasie wojny. Aż do wojny
dany ma być jak dotychczas. Jest w tym
coś jakby do tego, aby być w tym
może być - jeśli chodzi o to, że
w tym czasie ma być w tym czasie
tym samym, jak w tym czasie
był w tym czasie, jak w tym czasie
w tym czasie, jak w tym czasie

KOŃCĄ

